

MAREK NOWAKOWSKI

RAPORT O STANIE WOJENNYM

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1982

RAPORT O STANIE WOJENNYM

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 350

ISBN 2-7168-0003-0

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

MAREK NOWAKOWSKI

RAPORT O STANIE WOJENNYM

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1982

STAN WOJNY

Zapadła ciemność. Mróz tężał. To przedmieście opustoszało przedwcześnie. Tylko stamtąd, gdzie forticznym masywem czerniała huta, dochodził nieustający chrzęst. To czołgi i transportery na gąsienicach zbliżały się do zabarykadowanych bram kombinatu. Wojsko otaczało hutę. Również w tamtym kierunku podążała kolumna żołnierzy z karabinami opatrzonymi w bagnety. W światłach nielicznych latarni pobłyskiwała nieoczekiwanie. Bił od niej zimny blask. Drogę do huty zagrażały betonowe zapory. Przy nich stali dwaj wartownicy w uszatyh czapkach. Przytupywali nogami i zabijali dłonie. Przez piersi mieli przewieszone pistolety maszynowe. Po przeciwnej stronie przegrodzonej drogi żarzył się koks w piecyku. Trzeci z trzymających straż żołnierzy grzał się przy nim. Rozgarniał prętem czerwone węgle.

Długie, ostre jak szpilety sopte lodu zwisały z okapu kamienicy. Wartownik odsunął się trochę od ściany domu, niebezpiecznie najeżonej u góry. Nieliczni przechodnie omijali żołnierza z daleka. Odprowadzał ich czujnym spojrzeniem. Wtedy jego dłonie opuszczały strefę ciepła nad ogniem i spoczywały na maszynowej broni. Ludzie szybkim krokiem przechodzili ulicę. Nie patrzyli w jego stronę. Okna kamienic były ciemne, wygaszone. Mijał trzeci dzień stanu wojny i zbliżała się już godzina policyjna.

Z bocznej uliczki wyjechała taksówka. Zbliżyła się do zablokowanej drogi. Zatrzymała się przed betonowymi kozłami na jezdni. Wartownicy podeszli do samochodu. Broń trzymali w pogotowiu. Kontrola dokumentów. Otworzyli bagażnik. Długo w nim przetrząsali. Taksówka zawróciła.

Zapanowała cisza. Chrzęst pancernych pojazdów w pobliżu huty zaciął zupełnie. Długo nikt się nie pokazywał. Toteż

nagły odgłos kroków zabrzmiał bardzo hałaśliwie. Ktoś powoli i ciężko przesuwiał stopami. Zgarbiona, niekształtna sylwetka zamajaczyła w bramie. Przykuśtykała do koksowego piecyka. Była to stara kobieta z workiem przewieszonym przez ramię. Młody żołnierz popatrzył na nią uważnie. Zrzuciła swój ciężar z pleców. Twarz miała chudą, pełną zapadlisk i bruzd. Spod chustki opadały na czoło kosmyki siwych włosów. Zaczęła grzać ręce nad żarem.

— Zimno ci, żołnierzyku — powiedziała i przykuliła się nad piecykiem. Przymknęła oczy.

Od strony huty rozległ się przenikliwy dźwięk syreny. Rozdarł mroźną ciszę. Wartownicy przy drodze poruszyli się niespokojnie. Młody żołnierz też zapatrzył się w tamtym kierunku. Stara kobieta nie poruszyła się nawet. Wyglądała jak martwy kształt. Trzymała nad żarem dłonie. Reumatyczne i wykrzywione palce drżały nieustannie. Młody żołnierz poruszył się niecierpliwie. Ciężać mu zaczęła obecność starej kobiety. Chrząknął i spojrzał wymownie na swój ręczny zegarek. Wtedy ta stara ociężale uniosła głowę.

— Żal... Żal wszystkich... — powiedziała cichym, zdartym głosem. — Żal i ciebie... — wlepiła w żołnierza oczy starej matki. Były to zarazem oczy jastrzębia, wyjedzone i przenikliwe. — Krew na śniegu... Patrz, żołnierzyku!

Młody żołnierz, wyraźnie zaskoczony, rozejrzał się wokół siebie. Śnieg tutaj skrzył się mroźną bielą. Nieskalanie biały śnieg. Wzdrygnął się. Mróz potęgował się. A te słowa starej były jeszcze bardziej lodowate. I tak wpatrywała się w niego uparcie.

— Co wy, babko! — odezwał się wreszcie i bezwiednym gestem przesunął pistolet maszynowy przewieszony przez piersi. Był to młody chłopak o pucułowanej, wiejskiej twarzy. Opuścił głowę i czubkiem buta zaczął żłobić śnieg.

Stara kobieta zarzuciła swój żebraczy worek na plecy. Poczłapała powolnie. Zaraz zniknęła w ciemności. Tylko śnieg chrząścił pod jej nogami.

— Kto tam?! — zawołał jeden z wartowników pilnujących drogi do huty.

— Głupia jakaś! — odkrzyknął po chwili wahania młody żołnierz. Kucnął przy piecyku. Koks potrzaskiwał. Dym, ogień...

1 stycznia 1982 r.

BOŻE, ZMIŁUJ SIĘ NAD WILNEM!

Zaczęli ich tłuc. A te pały takie mieli! Wielkie, grube maczugi. Specjalne. Bo te, które zazwyczaj widzimy, to są pałeczki-laleczki w porównaniu z tymi drągami. Otoczyli gromadkę wyrostków i zaczęli ich obrabiać.

— Dokumenty, dokumenty! — powtarzali i wcale nie czekając, jak ci chłopcy pokażą swoje dowody, okładali ich po plecach, nerach tymi pałami. Chłopcy łamali się jak łądygi. Niejeden padał. Taki łomot było słyszeć i stękanie.

To działo się 17 grudnia wieczorem. Czwartego dnia stanu wojny. Cały Plac Zwycięstwa został zablokowany. Mimo to wygarnęli sporo młodzieży.

Jestem człowiekiem przedwojennym. Okupację przeżyłem jako młodzieniec. Toteż dla mnie był to szczególnie przykry widok. Te budy... Te watahy milicyjne z pałami... Ta oprawiana przez nich młodzież... Okupacyjne wspomnienia. I tak mnie zamurowało. Stałem i patrzyłem. Akurat dwaj milicjanci, byki takie, zaczęli obrabiać wątłego chłopaczka w okularach. Istny studenciak z wyglądu.

— Dokumenty! — ryczeli. A w żaden sposób nie dawali mu możliwości okazania dowodu. Co rękę chciał do kieszeni, to oni go pałą prask! Oślaniał się i płakał. Uciec nie mógł. Przyparł do muru biedaka. Uwijali się przy nim jak wściekłe psy.

— Wolnego, panowie! — zawołałem. — Pozwólcie mu wylegitymować się!

Nie wytrzymałem.

Jeden z milicjantów zbliżył się do mnie. Oczy miał dziwne. Błyszczące, nienaturalnie rozszerzone. Musieli ich nafaszerować środkami podniecającymi. Są takie. Wyglądał jakby był w transie. Więc tak spojrział i chwycił za kłapy jesionki.

— Do budy dziada! — krzyknął.

Już drugi ułapił mnie za kołnierz. Powlekli do stojącej w pobliżu budy. Pomagali sobie kopniakami. Ta buda wyładowana po brzegi. Młodzież, trochę starszych, no i ja... Powieźli nas miastem. Pełnym gazem, na sygnale. Ulice puste, wymiecione. Tylko tu i ówdzie żołnierze z bronią w pogotowiu, a na skrzyżowaniach czołgi. Okupacja.

— Boże, zmiłuj się nad Wilnem! — powiedziałem. I to dosyć głośno, bo ci obok popatrzyli na mnie ze zdziwieniem. Nie wiem, czemu mi się tak powiedziało. Te słowa! Skąd one się wzięły. Jestem rodem z Wilna. Wilniuk, jak to mówią.

Kiedy Hitler rozpoczął wojnę i było też wiadome, że z drugiej strony rusza na nas wschodni sąsiad, to w jednej z wileńskich gazet ukazał się artykuł wstępny, który kończył się tymi właśnie słowami: „Boże, zmiłuj się nad Wilnem!”. Pustą miałem zupełnie głowę i tylko te słowa obijały się pod czaszką. W której to gazecie mogło być? Wydawali wtedy *Kuriera*, *Słowo* i jeszcze...

Nawet niedługo ta jazda trwała i znaleźliśmy się na podwórzu komendy. Milicjanci ustawili się szpalerem. Wszyscy z tymi pałami w łapach. Myślałem, że wezmą nas w obroty i wymłócą. Na wszelki wypadek głowę wcisnąłem w ramiona i przymknąłem oczy. Nic takiego jednak nie nastąpiło, tylko popędzili nas schodami na dół do piwnicy. Tu wtłoczeni zostaliśmy do niewielkiego pomieszczenia z okratowanym okienkiem pod sufitem. Było nas kilkudziesięciu i tak staliśmy jeden przy drugim w tej ciemnej, dusznej celi. Ludzie z łapanek. Tkwiłem ściśnięty, że nawet ruszyć się nie mogłem i pocić się zacząłem obficie. Nasłuchiwałem szybkich, energicznych kroków na korytarzu. Biegali tam i z powrotem, pokrzykiwali.

Zakotłowało mi się w głowie. To Wilno sprzed tylu lat. *Czerwony Sztandar*. Tam orkiestra pośrodku na podwyższeniu miała swoje miejsce. Ten skrzypek-garbus... Cmentarz na Roszie. Tam chodziłem z ojcem. Babka moja leżała. Obok aniołek z granitu. Odlupane miał skrzydło. Wilia w górę do Werek. Łaziłem jej brzegiem. Na Antokol szło się zawsze koło przystani... Takie i inne sielskie obrazki!

Stłoczeni byliśmy okropnie. Jeden na drugim. Młodzież. Paru nieźle pobitych. Jeden płacze. Drugi przeklina. Co z nimi robią? Ja też kiedyś tak samo. Lata minęły, tyle lat. Zmagłowali człowieka. Sprasowali. Wyschnięty taki, kurczy się i rozsypuje. Oni po prostu siły nam odbierają. Wysysają swoimi sposobami. Energię, moc ducha, wszystko! Boże, zmiłuj się nad Wilnem!

Już wiem! To był artykuł wstępny w *Słowie*. Zapewne Cat-Mackiewicz napisał. On był filarem tego pisma.

Na korytarzu ciągle ta bieranina. Raz po raz zgrzyta klucz w zamku. Podniesione głosy. Z nagle narodził się w mojej głowie pewien koncept, fortel, czy jak to nazwać. Jeszcze sprawdziłem w górnej kieszonce marynarki. Były! Nawet dwie. Nie-wiele myśląc przepchnąłem się jakoś do drzwi i zacząłem walić, kopać w te masywne, obite blachą drzwi. Po dłuższej chwili uniosła się klapka judasza i zobaczyłem oko.

— Ja w pilnej sprawie do oficera dyżurnego! — powiedziałem bardzo głośno i stanowczo.

Strażnik otworzył drzwi. Popatrzył na mnie badawczo. Mru-gnąłem jednym okiem.

— Chodźcie — zdecydował.

Moi towarzysze niedoli tak na mnie popatrzyli. Wszyscy. Cóż mogłem im powiedzieć? Odczytałem doskonale wymowę tych spojrzeń. Strażnik poprowadził na górę do oficera.

Ten oficer nieprzyjemny, suchy. Długo nie zwracał na moją obecność żadnej uwagi. Grzebał w jakichś papierach.

— Co chcecie? — warknął wreszcie.

— Jestem chory na serce. Po zawale. — I na dowód prawdy wyciągnąłem nitroglicerynę z kieszonki. Dwie pigułki.

Oficer wziął w palce jedną pigułkę. Długo oglądał. Potem na mnie popatrzył. Wiercił mnie swoim wodnistym, przenikliwym okiem.

— Wzięty zostałem — powiedziałem szybko — nie wiem za co...

— Dobra! — przerwał gniewnie. — Starczy!

Wykręcił jakiś numer na tarczy telefonu. Bez skutku. Po-słyszałem zajęty sygnał. Odłożył słuchawkę.

— Urodzony w ZSRR — zajrzał w mój dowód. — Wilno... — zrobił pauzę. — Zwalniam was. Tylko pamiętajcie! — po-groził palcem — nie wolno wam mieszać się do niczego.

Oddał mi dowód. Wartownik odprowadził do bramy. Byłem wolny. Chyłkiem pod murem popędziłem do domu. Tylko kwadrans do godziny policyjnej!

O P O W I E Ś Ć T A K S Ó W K A R Z A

Jeżeli zamek zamarznie, to najlepszy jest płyn hamulcowy. Kilka kropel wlać do środka i kręcić kluczykiem. Można też podgrzać. Dziś rano miałem takie ćwiczenie z zamkiem. Ale silnik zapalił od razu. Kursy były niezłe. Niewiele jeździ tak-sówek. Przydziały benzyny dla prywatnych taksiarzy są ogra-niczone. Na lewo od wojska kupiłem kanister. Stoją w lesie zaraz za naszym osiedlem. Cała kolumna transporterów. Pil-nują fabryki. Zmarznięci, głodni. Wpadli do cukierni na naszym osiedlu i w kilka minut wszystkie ciastka wyjedli. Pasażero-wie małowolni raczej. Boi się człowiek człowieka. Kapusie wyjdą na wierzch. Zaczną węszyć i premię za czujność pobierać. Wiozłem jednego takiego. Futrzana czapa, morda czerwona, na-

bita. Mongoł. W lusterku go widziałem. Sprawdzić mnie chciał taki syn.

— Wreszcie — powiada — będzie spokój i porządek.

— Co, proszę? — ja mu na to.

— No jak to? — pyta. — Pan jest odmiennego zdania?

— Co, proszę? — powtarzam. — Słabo słyszę, bębrenki w uszach mi popękały.

Minę zrobił głupią. Tak na mnie popatrzył wilkiem. Skończyła się rozmowa. Wysiadł na Puławskiej w pobliżu tego rezerwatu bezpieki. Być może na służbę śpieszył. Tam posterunek za posterunkiem. Zatrzymują wozy, sprawdzają. Centrala stanu wojennego.

A z pasażerami rozmaicie. Jeden mówi: milicja miała dostawę na świąteczny stół, wie pan? Ze stawu w Łazienkach wyławiali dla nich karpia. Z pół tony nocą wybrali. Najlepszy gatunek. Królewski karp. Coś pan myślał! — dodał widząc moje zdziwienie. — Napracowały się chłopaki!

To nie był prowokator. Wyczułem go. Swojak. Kaszel taki miał. Długi, rżący. Z nadmiaru gorzały.

— I łabędzie będą tłuc — powiedział i sporta przełamał na dwie połówki. Jedną osadził w szklanej lufce.

Palacze kiepsko mają. Przydział kartkowy dla nich nie wystarcza. I tacy jeżdżą. Mówią jak mówili. Nie замуrowało im ust. Przeważnie jednak ludzie milczą. Nie mają humoru. Siedzą tak, łby zwieszane, i jak zderzy się taki z moim spojrzeniem w lusterku, to odwraca oczy. Przeżycia, kłopoty. Może ktoś z bliskich aresztowany, internowany. Wiozłem pewne starsze małżeństwo. Ona mówiła cały czas, że była internowana. Obóz, druty, baraki, apel. Starszy do niej: cicho, cicho, kochanie... — I głaskał ją po ręce. A mnie na boku wyjaśnił, że nerwy jego żonie wysiadły. Wiozł ją do Głupiejewa na Nowowiejską. Różnie ta wojna na ludzi podziałała. Taka starsza osoba. Pamięta okupację. Łapanie, egzekucje. Odbiło jej. Czemu nie? Paru takich wiozłem, co opaski czarne nosili na rękawach. Na znak żałoby z powodu tego stanu wojennego. Młodzi jeszcze najlepiej się trzymają. Taki jeden po amerykańsku ubrany, w kurtkę z napisem US Army, mówi na koniec kursu: zna pan to? Wrona orła nie pokona! — I w śmiech. Dobrze, że młodzi nie pękają. Nadzieja jakaś, przyszłość. Bo złe myśli we łbie jednak buszują. Odpędzam, odpędzam, mózg wietrzę. Przyczepiły się, cholera jasna, jak rzep psiego ogona! Mróz ściska. Starzy ludzie umierają. Dużo pogrzebów. Telefonów nie ma, nim zawiadomią pogotowie... Te czołgi, budy i inne militarne wozy przetaczają się

ulicami. Watahy milicjantów łążą, węszą. Można tym się zatruć! Zwalczać to w sobie trzeba. Tylko jak? Dziś to kilka razy mnie zatrzymywali. Prawo jazdy, stan licznika, wóz rewidowali. Najbardziej zdenerwowałem się to ostatnią kontrolą. Już do domu zjeżdżałem. Wolno tak. Myślałem, że jeszcze jakiegoś pasażera zabiorę w swoim kierunku. Halt! Zatrzymują. Żołnierze w waciakach, uszate czapki, automaty w pogotowiu. Zmarznięci, przypupują. Od spodu ich obuli marniutko, w gumiaki.

— Dokumenty! — paluchy im zgrabiąły, ledwo kartki w dowodzie przerzucają.

— Zimne te gumiaki — mówię.

— W środku mają ocieplenie — jeden odpowiada. — Ale zimne.

— Bo ci z ZOMO — zauważyłem — przyzwoite wojsłoki mają.

Nic nie odpowiedział.

Ten z drugiej strony wozu, kapral, odzywa się:

— Niech pan tylne drzwi otworzy.

Otworzyłem. Pod siedzeniem zaczął grzebać. Dynamitu czy petardy szukał? Nie znalazł. Zapalam silnik.

— Zaraz — mówi — od spodu zobaczymy. — Kłeka i łeb pod wóz pakuje. Bach! Oberwał się złodziały śnieg. Czapka mu spadła. Wylazł. Nos smarem ubrudzony. Z trudem śmiech hamują. — Jeszcze bagażnik — warczy.

Przycisnąłem guzik. Otworzył. Tam zapasowe koło, narzędzia i nic więcej. Czekaj wężycielu! Popracujesz jeszcze na tym mrozie! Tak pomyślałem. Zamknął bagażnik. I ledwo to zrobił, wieko znów odskoczyło. Powtórzył. To samo. Bagażnik w moim wozie trzeba umieć zamknąć. Tylko sposobem. I tak zaczął tym wiekiem tłuc. Co przycisnął, to mu odskakiwało. Aż sapać zaczął. Walił coraz mocniej.

— Uwaga! — papierosa zapaliłem. I tak mówię: — Popsujecie mi pokrywę, obywatelu kapralu!

Popatrzył na mnie i nic nie powiedział.

A ja ręce sobie na kierownicy opieram i czekam spokojnie. Radio włączyłem i muzyka płynie.

Załamał się wreszcie gorliwy żołnierz. Poprosił, żeby mu pomóc.

— No właśnie! — powiedziałem. — I po co ci to było, kolego?

— A co?! — wybuchnął. — Ja to wymyśliłem?

Już mu się pomału zaczyna przejaśniać w głowie.

CO MAM ZROBIĆ?

Kawiarnia szumiała jak ul. Szatnia już była zapchana zimowymi paltotami i kożuchami. Szatniarz-rencista nie mógł się nadziwić, że tak nagle w samo południe zrobił się taki tłok. Kobiety i mężczyźni ciasnymi kręgami obsiedli stoliki. Byli to dziennikarze z rozmaitych gazet. Dziś bowiem w pobliżu kawiarni odbywała się weryfikacja. Nawet z okien kawiarni można było zobaczyć ten budynek, w którym mieściły się biura wydawnictwa prasowego. Panował nastrój podniecenia i gorączki. Atmosfera przypominała wyczekiwanie na korytarzach wyższej uczelni podczas sesji egzaminacyjnej. Tym charakterystycznym „czy już jesteś po?” albo „o co pytali?” witano każdego, kto przybywał teraz do kawiarni. Ale nie tylko z egzaminami można to było kojarzyć. Wkradły się tu również silne akcenty z biura przepustek milicyjnej komendy, gdzie wezwani na przesłuchanie dzwonią pod wskazany numer telefonu i oczekują na oficera śledczego, który poprowadzi delikwenta w głąb gmachu.

Zmienna gra uczuć malowała się na twarzach zebranych w kawiarni dziennikarzy. Jedni popijając kawę i zarzucając nerwowo nogę na nogę wazyli swoją decyzję raz w jedną, a raz w drugą stronę. Ta huśtawka nastrojów wyraźna na ich twarzach. Inni już zdecydowani, skupieni i mało mówni, patrzyli w jeden wybrany przypadkiem punkt na ścianie czy suficie. Byli samotni w tłumie. Wsłuchani w swój wewnętrzny głos. Inni jeszcze nie ukrywali zadowolenia i satysfakcji, które wyrażały się w nieco sztucznej pewności siebie i nadmiernej skłonności do żarcików. Wiek tu również odgrywał pewną rolę. Najmłodsi z zebranych przed najtrudniejszą stanęli decyzją. Oni pierwsi przecież z całą ochotą zaangażowali się w „Solidarność”, która teraz będzie językiem u wagi dla weryfikatorów. Więc ich przede wszystkim nękało uporczywe pytanie, czy stanąć przed komisją, czy odmówić jakiegokolwiek rozmowy. Przebieg tej rozmowy stanowić będzie niewątpliwą formę szantażu i jeżeli tak, to nie należy wdawać się z nimi w żadną merytoryczną dyskusję. To przekonanie umacniały relacje z dotychczasowych rozmów. Wymagano przecież od ludzi samokrytycznego rozprawienia się z dotychczasową działalnością w życiu społecznym i pokornego podporządkowania się nowym, brutalnym racjom.

— Czyli napluć sobie w gębę! — zawołał ktoś z pasją. — Tak?

Jedni przytaknęli skwapliwie. Inni milczeli ponuro.

Może jeszcze jeden akcent stanowił o nastroju w tej kawiarni. Inkwizycja. Przybrać tamtych za komisyjnym stołem w habity. Zmienić scenerię i ta reminiscencja ze średniowiecza będzie zupełnie na miejscu.

Pierwsi z zebranych szykowali się już do wyjścia. Zbliżał się wyznaczony im czas. Ci z pierwszego rzutu, jak krążyła opinia, byli to podobno ludzie, co do których wysuwano najmniej zarzutów. Oni stworzą zdrowy rdzeń przyszłych redakcji. Przeważnie byli to mężczyźni w średnim wieku oraz kobiety zadbane i umalowane o nieco fałszywych uśmiechach. Takimi się w tej chwili ci ludzie wydali zebranym. I już wkradła się obcość i brak zaufania. Już mimo woli szeptem wymieniano uwagi. Już tylko w najbliższym gronie pozwalano sobie na szczerłość.

— Ja wracam do dawnego zawodu — oświadczył brodaty człowiek o stanowczej twarzy.

— Jeżeli znajdziesz robotę — wtrącił jego redakcyjny kolega.

— Co mam zrobić? — powtarzała po raz któryś ładna dziewczyna we włóczkowej czapce z pomponem i po raz któryś dusiła gwałtownie w popielniczce niedopałek papierosa. Zaraz zapalała następnego.

LANCET

Doktor Mozolski znał go tylko z widzenia. Sąsiad z klatki schodowej. Wymieniali ukłony. To znaczy tamten kłaniał się zawsze pierwszy. Młody, dobrze wychowany człowiek. Brodaty i wąsaty. Jak wielu teraz współczesnych młodzieńców. Przed Sierpniem wiedział o nim jedynie tyle, że pracuje jako kierowca w MZK. Był jeszcze kawalerem i mieszkał z matką. Kiedyś na schodach poprosił go, żeby zbadał matkę. Miała kłopoty z ciśnieniem. Zbadał ją doktor Mozolski i zapisał tej postarzałej przedwcześnie kobiecie właściwe leki. Młody człowiek poczerwieniał i zacinając się zapytał, ile ma zapłacić.

— Przysługa sąsiedzka — odparł doktor Mozolski.

I to wszystko. Zapamiętał jego zażenowanie w sprawie honorarium. Spodobało mu się to nawet.

Po Sierpniu doktor Mozolski doznał nieoczekiwanej przyjemności, kiedy w telewizji pokazywano komisję zakładową strajkujących MZK. Wśród nich był ten brodaczy, sąsiad z klatki schodowej. Wszyscy ci młodzi pokazani w telewizji wyglądali

jak rewolucjoniści z dawnych rycin i dagerotypów. Brodaci prze-
ważali i długowłosi. Rewolucjoniści z 1905 roku. Bojowcy
z PPS. Tak ten telewizyjny obraz skojarzył się doktorowi Mo-
zolskiemu z odległą przeszłością. Jak inni w tym czasie, interesowa-
wał się żywo losami „Solidarności”, pierwszego wolnego związku
w tym kraju. Wyczekiwał przed sądem, kiedy odbywała się jego
rejestracja. Jak inni oklaskiwał wspaniałego trybuna ludowego,
Władysława Gomułkę. Ale był sceptykiem, a nawet pesymistą. Pochodził prze-
cież z pokolenia ciężko doświadczonego historią i poczynając od
wojny losy narodu układały się w same niepowodzenia, żeby
nie powiedzieć klęski. Doktor Mozolski był żołnierzem AK,
pseudonim „Lancet” (to aluzja do jego rozpoczętych tuż przed
wojną studiów medycznych) i po wyzwoleniu odsiedział kilka
lat jako „zapłuty karzeł reakcji”. Nie znaczy to jednak wcale,
że te doświadczenia uczyniły z niego złamanego, poharatanego
człowieka. Nigdy nie uczynił nic, co by kolidowało z jego poglą-
dami. Jak to mówił z rzadka po alkoholu, nie był mięczakiem
ani nie miał duszy kolaboranta. Jedynie chłodno kalkulując i
opierając się na naukach przeszłości, również dla tego wspaniałego
zrywu ujarzmionego narodu nie przewidywał optymistycznych
widoków. Czarno jawiła mu się przyszłość. Oczywiście nie mó-
wił o tym zbyt chętnie. Nie chciał być defetystą. A już szcze-
gólnie wstrzymywał się od wypowiadania swych diagnoz w obec-
ności młodych ludzi.

W szpitalu ci młodzi byli naprawdę świetni. Przypominali
to wytracone, wojenne pokolenie, tych chłopców z konspiracji
o pseudonimach rodem z Sienkiewicza, tych przeróżnych Zagon-
czyków, Kmiciców, Kołczanów, Bohunów i innych. Zaangażo-
wanie, odwaga i talenty organizacyjne. I tak z nagłą objawili
się ci działacze! Na tej pustyni, gdzie dotychczas cynizm i obłuda
walczyły o prymat z czynowniczym podporządkowaniem. Ten
szpitalny aktyw „Solidarności” imponował mu niezwykle i ranił
nawet boleśnie, przypominając młode lata.

— Już jestem wypalony — powiedział wtedy doktor Mozolski.

Ci lekarze, pielęgniarki, personel techniczny... Też został
członkiem tego związku, ale raczej biernym.

Od czasu tego reportażu w telewizji innymi oczyma zaczął
spoglądać na młodego sąsiada z klatki schodowej. Raz dłużej
sobie porozmawiali. Brodacz opowiadał swoje wrażenia ze zjazdu
„Solidarności”. Był delegatem. Doktor Mozolski przestrzegał
przed zbytnim maksymalizmem. Brodacz przyznał mu rację.

Ogłoszenie stanu wojennego było jak przysłowiowy łom rów-
nież dla doktora Mozolskiego. Szok, ogłuszenie. Tak to przeżył.

Ten nastrój na mieście. Mroźna, zmilitaryzowana zima. Wojenna zima. I równocześnie ta lawina brudnej, prymitywnej propagandy z telewizji. Twarze ludzi, którzy tam się pojawili.

U niego w szpitalu obydło się na razie bez pacyfikacji. Jednego tylko zabrali. Choć zaczęto już mówić o brutalnych naciskach na członków „Solidarności”. O szantażach przeróżnych. Z ukrycia wylażyły męty i gnidy. Żerować zaczęły bezkarnie.

Doktor Mozolski opancerzył się szczególnie jak za dawnych lat stalinizmu. Mało co mówił z ludźmi. Unikał. Ponadto jako chirurg miał ciągle pełne ręce roboty, a wolny czas spędzał słuchając zagranicznych rozgłośni. Tego młodego brodacza nie spotkał ani razu na schodach. Myślał czasem o nim. Co się z nim stało? Internowali go, aresztowali? Nie wiedział więc nic o nim, a jego matki, tej schorowanej kobiety, nie chciał niepokoić.

Dziś po nocnym dyżurze wybrał się do domów handlowych Centrum. Szukał cieplej pidżamy, bielizny, gdyż zima nadal trzyma tęga. Schodami w dół skierował się do podziemnego przejścia, żeby dostać się na drugą stronę Marszałkowskiej. To przejście podziemne nazywał na własny użytek Hadesem i zawsze tam bładził. Dziś także. Przystanął i nie wiedział w którą iść stronę. I wtedy zobaczył go nagle. Na pewno on. Sąsiad z klatki schodowej. Tylko bez brody. Ogolony i ostrzyżony. Również przystanął przed sklepem z kosmetykami. Czyżby się ukrywał? Bez brody. Doktor Mozolski powoli zbliżył się do niego. Nie chciał go zaskakiwać. Pragnął, żeby tamten poznał go pierwszy. Człowiek, który się ukrywa, nie powinien być zaskakiwany. Denerwuje się niepotrzebnie. Cały czas się uśmiechał. Szukał jego spojrzenia.

Młodzieniec dostrzegł go wreszcie. Przez chwilę nie poznawał. Patrzył intensywnie i coś jak czujny, nieufny namysł pojawiło się na jego twarzy.

— Panie sąsiedzie! — powiedział z naciskiem doktor Mozolski.

— Aa! — wyraźna ulga w głosie tamtego. — Pan doktor!

Doktor Mozolski nie pytał o nic. Był jak za dawnych, konspiracyjnych lat, skupiony i rzeczowy.

— Gdyby coś... — powiedział ścisłym głosem — ...jakiś kłopot... pan albo ktoś z pana przyjaciół... to u mnie na chirurgii można poczuć się absolutnie bezpiecznie. Obandażuję... Nawet zabieg mogę pozorować i sam diabeł nie dojdzie. Więc... — doktor Mozolski wyrwał karteczkę z notesu i zapisał swoje telefony, domowy i szpitalny. Dopisał jeszcze adres szpitala i wewnętrzny telefon z portierni.

Młodzieniec złożył starannie karteczkę. Ucisnęli sobie mocno dłonie. Rozstali się bez słów.

Doktor Mozolski jeszcze stał i patrzył za oddalającym się młodzieńcem. Tłum kłębiący się w podziemnym przejściu pochłoniął go zaraz.

SEKRETNE OBLICZE

Przybył komisarz, czy jak go nazwać, i ogłosił decyzję o zawieszeniu naszego związku. Sam nazwał się kuratorem. Mały, szary, oczy jak woda, i równie bezbarwny głos. Z wiadomego resortu. Palił Carmeny. Zaczął łązić z kierownikiem naszego biura po pokojach. Mówił, co będzie opieczętowane, a co jeszcze czynne. Czynna będzie kasa i stołówka. Zapomogi, stypendia dawniej już przyznane, no i ta związkowa zupka oraz ruskie pierogi. Ostatnio ruskimi pierogami przeważnie nas karmili. Jeszcze lekarz może nadal przyjmować w swoim pokoiku. Niektóre urzędniczki popłakiwały. Szczególnie te od lat zatrudnione u nas. Jedna zażyła swoje kropelki. Nigdy dotąd nie był nasz związek zawieszany. Od wojny nieprzerwanie funkcjonował przecież. Więc one czuły, że to koniec naszego związku. Kurator z pokoju do pokoju. One jak zmokłe kury za nim. Przystawały zbitą gromadką z tyłu i popatrywały ogłupiałymi oczyma na niego. Tak jakby nie wierzyły własnym oczom. Ale wystarczyło wyjrzeć przez okno. Pod kościołem stał czołg. Od wojny nie było takiego widoku. Lufa jego działa skierowana w wieżę zamkową z zegarem. Na rogu od strony przeciwnej posterunek wojskowy. Broń w pogotowiu, zatrzymują samochody.

— No proszę — powiedział kierowca związkowy, Felek. — Sprawne to wojsko. Ciach, mach, i są wszędzie!

Nie wiadomo, z jaką intencją to mówił. Bo to głupol. Niedawno odbył służbę wojskową. Jeszcze taką panterkę polową nosił.

— A gdzie są protokoły zebrzań? — zapytał kurator.

Kierownik biura udał głęboki namysł. Urzędniczki też nic. Wszyscy nabrali wody w usta. Ale nie przeszedł ten numer. Natychmiast Piotrowska przejęła inicjatywę. Lula kazała na siebie mówić. Zatrudniona została rok temu i z każdym brudzia: „Mów mi Lula!”. I język wpychała w usta.

— Tam! — pokazała tę małą szafę w kącie pod obrazem pierwszego prezesa.

— Acha! — mruknął kurator. Zaraz zażądał klucza.

Kierownik zaczął szukać po kieszeniach. Nie miał. Inni też nie mieli. Jednak koleżanka Piotrowska wiedziała, gdzie są klucze. Następnie udała się z kuratorem na sekretną rozmowę do pokoju dotychczasowego kierownika biura.

— Papiery „Solidarności” zabierzcie w diabły! — zdążył szepnąć kierownik.

Bożenka, która prowadziła naszą biurową „Solidarność”, zakrzętnęła się jak fryga i w koszu od śmieci wyniosła teczkę z papierami koła. Szatniarka miała takie swoje schowki.

— Tygodniami mogą szukać — powiedziała ta bystra starowinka.

Chociaż to zdążyliśmy zabezpieczyć. W kilka minut potem z pokoju kierownika wyszła Piotrowska z kuratorem. Już była między nimi mocna więź. To się wyczuwało. Wzajemne zaufanie. Jeszcze jakieś szeptu na boku. Potakuje gorliwie kuratorowi. Zalotna wyraźnie. Otrzymała zadanie inwentaryzacji archiwum.

— Podyktuję ci — poleciła pisanie na maszynie Bożence.

I tak na nas spojrzała. Wyzwanie w jej oczach, wyższość. Nie ta sama osoba. Ujawniła się po prostu. Nawet kierownik biura żachnął się z obrzydzenia. A przecież wiadomo było powszechnie, że mieli coś ze sobą. Raz goniec wpadł do pokoju kierownika i cofnął się od razu. Oni przy biurku. Kotłowali się. Kierownik miętosił ją za te wielkie cycki.

— Na dywanie będzie teges! — chichotał wtedy goniec i ręką zgietą w łokciu wykonał charakterystyczny manewr.

No i widać! Odeszła mięta kierownikowi raptownie. Jak dobrze pójdzie, to ona z kuratorem może niebawem. Czyżby taką przyszłość zobaczył oczyma wyobraźni kierownik biura? Dywan przy jego biurku i oni tam we dwoje...

W tej ciszy, kiedy każdy przeżywał to przeistoczenie się Piotrowskiej, nasz księgowy zabrał głos. Jemu już gównu zrobili, ma wiek emerytalny. Tak wyprostował się jak świeca. To kawał chłopca, były kawalerzysta. Więc tak wyprostował się i tym swoim sznaps barytonem do Piotrowskiej:

— No to widzę, że pani koleżanka jest osobą zaufaną, nieprawdaż?

Na to Piotrowska, rozłożysta klempa, piersi jak dynie, nawet apetyczna, wypięła się jeszcze bardziej i mówi:

— A co? Nie podoba się panu?

— Skąd! — odpowiada księgowy. — Nic takiego nie miałem

na myśli. Tylko... — zadumał się. — Czy nie za wcześniej się pani ujawniła, droga Lulu? Kto wie?... — zawiesił głos. Podszedł do okna. Ten wojskowy widok pod kościołem zaczął kontemplować.

Stropił babę. Dacie wiarę? Stała tak chwilę, usta gapowato rozdziawiła i nic. Myśl jakaś błądziła jej po głowie.

Tam z ulicy słychać było charakterystyczny chrzest gąsienic i warkot. Księgowy nasycił się już wojskowym widokiem i odwrócił głowę. Tak łagodnie, z dystansu na nas wszystkich popatrzył.

— Aliści później to niejeden odkryje swe sekretne oblicze — powoli wycedził ten drań.

Wtedy mimowolnie też popatrzyliśmy po sobie. Posiał za-trute ziarno.

Kierownik skłonił się sprężysto kuratorowi i opuścił pokój.

NOCNY RONT

Zaryzykowali i ustawili się w czterdzieści pięć minut przed szóstą. Tym bardziej, że były przecieki od rzeźnika. Podobno mają dziś przywieźć wołowinę, schab i podroby. W większej ilości. To podziało jak magnes i przed końcem policyjnej nocy była już dosyć znaczna kolejka. Przeważały starsze kobiety i emeryci. W razie czego, chyba do starych się nie przyczepią. Kilku młodych zajęło kolejkę i na wszelki wypadek ukryło się w pobliskiej bramie. Tam palili papierosy i wyglądali czujnie. Choć mało co w tej ciemności widać. Większość latarni wygaszona dla oszczędności i jeszcze zapadła gęsta mgła. Było mroźno. Ta mgła wróżyła śnieg. Starzy ludzie w kolejce stali spokojnie i bez strachu.

— A co tam mi robią! — rozkaszał się astmatycznie jeden taki i wyciągać zaczął rozmaite dokumenty. Z tych dokumentów wynikało, że szedł od Lenino, posiada dwa medale i należy do ZBOWiD-u.

Ledwie skończył stary swoje przechwałki, a od placyku pod pałacem ślubów doszedł równy, miarowy stuk butów po skrzypiącym mrozem śniegu. Paru co zwawszych staruszków pobiegło schować się do młodych w bramę. Większość pozostała nieruchoma. Nocny ront zbliżył się do kolejki. Czterech ich było.

Trzech z długą bronią, a na przedzie jeden z pistoletem w otwartej kaburze. Oświetili latarkami przycupniętych przy murze ludzi. Przystanęli.

— No i co? — odezwał się pierwszy.

Ludzie milczeli.

— Pół godziny i pięć minut brakuje jeszcze... — obliczył ten pierwszy według swego czasomierza.

— Daruj, panie dowódco! — odezwała się płacząco jakaś babina.

Dowódca wyczekał długą chwilę.

— Spiszemy winnych tego wykroczenia — rzekł wreszcie. — I skierujemy na kolegium. — Oświecił po kolei silną latarką twarze czekających pod sklepem. Oślepieni mrużyli oczy. Zdjął rękawice, wyciągnął z raportówki notatnik. — Zaczynamy od czoła — zdecydował. — Ci na początku najwcześniej przekroczyli przepisy.

— Daruj, panie dowódco! — ponowiła swą prośbę ta sama babina.

Nie zwrócił na jej słowa żadnej uwagi. I od początku kolejki wygarniać zaczął pojedynczo. Każdą osobę brał na stronę i trwało to jakiś czas. Osoba wracała później na swoje miejsce. Przeważnie milczała.

— Dwieście bierze — zdążył wreszcie szepnąć ktoś z wracających po przesłuchaniu.

Toteż następni z kolejki już zawczasu przygotowali sobie banknoty w wymienionej wysokości.

Tak po kolei wszystkich wygarnął. W kilka minut się uwinął. Do bramy, gdzie ukrywali się młodzi, nie zajął wcale. Schował notatnik do raportówki. Zapiął ją starannie na paski. Szykował się do odejścia. Jego podwładni kończyli palić papierosy.

— A jak nadejdzie następny patrol?... — zdobył się na odwagę i zapytał starszek zbawidowiec — ...to oni już nie pobiorą?

— Co proszę? — zdziwił się dowódca i dał znak swoim żołnierzom.

Pomaszerowali równym krokiem.

Kolejka pozostała w całej swej długości. Skąpo i przyciszonymi głosami komentowano zdarzenie. Jedni twierdzili, że była to milicja. Inni, że wojsko. Zdania były podzielone. Ciemność już przerzedziła się znacznie. Do końca policyjnego czasu brakowało tylko dziesięciu minut. Zaczął prószyć drobny, ale gęsty śnieg.

P R A L K A

Od tego właśnie się zaczęło. W tę pamiętną niedzielę. Żona już była z nią umówiona. Od dawna korzystaliśmy z jej pralki. Oczywiście jesteśmy zapisani na własną, ale trzeba czekać. Zapisanych są tysiące. Ona miała. Po linii wojskowej. Wdowa po zawodowym sierżancie. Toteż pukam do niej po klucz od pralni. Zawsze jej pralka tam stała. Pukam i pukam. Radio nastawione na cały regulator. Ktoś gada. Jeszcze nic nie wiedziałem. W niedzielę mamy zwyczaj spać dłużej i dziennika słuchamy dopiero w południe. Wreszcie otworzyła drzwi.

— Proszę, sąsiedzie, proszę!

Nie można jej tego odmówić. Bardzo gościnna.

Wtedy to dowiedziałem się o tym stanie wojennym. Generał przemawiał. Nie będę ukrywał, że osłupiałem. A ona po pokoju przechadza się tanecznym krokiem i powtarza:

— Wojsko ujęło władzę w swoje ręce! — tak w kółko.

O kluczu do pralni zupełnie zapomniałem.

— Może kawusi? — ona pyta.

Odmówiłem.

— Przyjemny głos ma nasz generał armii, prawda? Głęboki taki i ciepły.

Patrzę i oczom nie wierzę. To próchno przecież rozkwita!

— Syn zaraz przyjdzie — mówi. — Na grób męża dziś się wybieramy.

W tym momencie przybrała smutną minę, jak wypada wdowie. Niedługo jednak w tej żałobie wytrzymała. Nucić coś zaczęła zdartym, fałszywym głosem.

Zła krew mnie zalała i czym prędzej opuściłem to mieszkanie. Oficerska bładź! Jak nazwać taką inaczej. Zresztą nie mojego autorstwa ów epitet.

Tego jej męża, sierżanta, doskonale pamiętam. Kwatermistrzostwo czy coś takiego. Spokojny, cichy człowiek. Ale co pewien czas odprawiał sądne dni. Wracał pijany i awanturował się. Mieszkamy przez ścianę, to i słysząc. Sprzętami ciskał, kłął. I wtedy ten epitet wulgarny: „oficerska bładź” usłyszałem. Tak swą ślubną żonę nazywał. Potrafił również ją poturbować. Ciemnymi okularami osłaniała podbite oczy. Nos jej kiedyś prze-tracił. Z wyglądu spokojny, grzeczny facet. Majsterklepka, krany potrafił naprawić, elektryczność. Nim w naszym bloku zamieszkali, to obijali się całe lata po garnizonach i poligonach. Poznali się gdzieś tam, w kasynie oficerskim. Tak ona podkreślała

z naciskiem. Dawała nieraz do zrozumienia, że otaczał ją rój wielbicieli. Oczywiście oficerów. Stąd swego męża traktowała z pewną pogardą. Był tylko podoficerem. Natomiast on, być może, pamiętał jej skłonność do szarży. Tak musiało być i do samej jego śmierci przynajmniej raz w miesiącu wybuchała u nich awantura. Zmarł na zawał. Zabrało go pogotowie i w drodze do szpitala wyzionął ducha. Materialnie została zabezpieczona. Wdowia renta po wojskowym i syn, trzeba przyznać, dbający o matkę. Załatwiał jej różne przydziały. Meble prosto z fabryki w Swarzędzu. Dywan z Kowar. Też wojskowy. Kapitan. Nie wiadomo z jakiej służby. Oni wszyscy, ta władza, nawet jak nie kradną, mają swoje przywileje. Tak to wygląda. Co mnie to obchodziło? Nic. Jednak w tym stanie wojny, który trwa już od miesiąca, oszalała ta stara baba. Na przykład zakochana w tym wojskowym, co czyta dziennik.

— Taki przystojny! Co za spojrzenie posępne! A jakie rysy twarzy regularne!

Cholera człowieka bierze. Patrzę na nią: ufryzowana, śmierdzi mdłymi perfumami i tak siedzi, nogami zarzuca, nogi czarne od żyłaków. Godzinami gapi się w telewizor. Tam teraz pełno wojskowych. Przemawiają, dyskutują. Raj dla niej. W generale tak samo dopatruje się urody, tajemniczego czaru, magnetyzmu. Takie tam bzdury! Nie tylko nam z żoną się uprzykrzyła. Inni sąsiedzi podobnie reagują. Nawet partyjni. A jej jeszcze tego mało! Na spacerzy zaczęła chodzić. Przy wiadukcie jest posterunek wojskowy. Grzeją się przy koksiaku. Żołnierze i milicjanci. Ona podchodzi do nich. Stara się zwrócić na siebie ich uwagę. Coś tam gdać, uśmiecha się. Żołnierze nawet grzecznie z nią rozmawiają. Spragnieni przecież ludzkiego ciepła. Otoczeni raczej powszechną izolacją, milczeniem. Choć czy oni winni? Służba to służba. Co prawda pognali ją pewnego razu. Ale to byli milicjanci. Ona nie odróżnia jednych od drugih. Dostyc ostro przemówili do niej: — Do domu, ale już! — Jaka oburzona! Odeszła próbując kołysać tym i owym. Żałosna imitacja kobiecych wdzięków. Mimo to następnego dnia znowu tam była. Cukierki wyniosła, ciasteczka.

— Może do mnie na kawę zajdziecie?

Wstydu ona nie ma żadnego. Co zrobić z taką? Ogolić łeb? Tych włosów ma jak na lekarstwo, prawie łysa, rude loczki, skóra prześwituje. Po prostu natura ciągnie wilka do lasu. Wobec powyższego oświadczyłem żonie kategorycznie:

— Odtąd nie korzystamy już z jej pralki! Koniec! Szlus!

W AUTOBUSIE

Był to autobus linii 122. Jechał ulicą Belwederską. Ludzie milczeli. Ostatnio ludzie milczą i nie słyszy się już tych charakterystycznych dowcipów, czy kłótni, tak typowych dotychczas dla miejskiej komunikacji. Nawet nieprzewidziany postój przed skrzyżowaniem nie wywołał żadnych komentarzy. Postój ten spowodowała tasiemcowa kolumna transporterów i ciężarówek wojskowych, która gdzieś podążała. Z tyłu ciężarówek kołysały się okryte plandekami działa. Kolumnę zamykał gazik. Wreszcie przejazd stał się wolny i autobus ruszył znów. Poruszał się ostrożnie oblodzonym asfaltem. Akurat mijał po lewej stronie osiedle zamieszkałe przez radzieckich dyplomatów i doradców. Szereg budynków różnej wysokości otoczonych murem.

— Obwarowały się kacapy! — odezwał się młody, niepozorny mężczyzna w wyłysiałej, futrzanej czapce. — Boją się szturm — głos miał nadspodziewanie donośny i przenikliwy. Zachichotał nieco po wariacku.

Kilku pasażerów spojrzało w wiadomą stronę. Ale milczeli.

— Co pan powiedział? — zawołał jednak ktoś z przodu autobusu. Był gruby, niski. Też w futrzanej czapce, o świecącej, wygolonej twarzy. Przeciskać się zaczął energicznie do tego młodego mężczyzny, który stał przy środkowych drzwiach. Pomagał sobie łokciami.

Młody mężczyzna stropił się wyraźnie i spojrzał odruchowo na drzwi.

Kierowca obserwował całe zdarzenie w lusterku. Nagle przycisnął pedał hamulca. Przyhamował ostro i równie ostro poderwał wóz do biegu. Ludzie potoczyli się ławą do przodu i zagarnęli wraz ze sobą grubego w futrzanej czapce. A choć próbował się bronić, to jednak ta ludzka ława zmiotła go niby lawina i przgwoździła do szklanej szyby, którą kierowca był oddzielony od reszty autobusu. W tym momencie lekki uśmiech pojawił się na zmęczonej, zarośniętej twarzy kierowcy. Zaraz znikł zresztą. Ze skupieniem patrzył przed siebie na niebezpiecznie śliską drogę.

Gruby w futrzanej czapie miotał się bezskutecznie. Chwycił się oburącz oparcia i próbował przepchnąć się dalej. Zdołał jednak przesunąć się tylko metr, nie więcej. Utknął przy bocznym siedzeniu dla inwalidy. Siedział tam inwalida i sztywną nogą zagradzał mu drogę.

I już przystanek na żądanie. Pęd bezwładnych, ludzkich ciał ostatecznie unieruchomił grubego w futrzanej czapce. Równ-

częście kierowca przycisnął właściwy guzik swojej tablicy. Automatycznie drzwi otworzyły się z sykiem. Środkowe najszybciej. Młody, niepozorny mężczyzna, który stał tuż przy nich na stopniach, wyskoczył zwinnie z autobusu.

Gruby w futrzanej czapie przedzierał się do przedniego wyjścia. Ciężko mu to szło. Czerwony, wściekły buldog. Sapał. Kierowca obserwował go z chłodną uwagą. Czekał uprzejmie. Tamten wysiadł wreszcie. Rozglądać się zaczął bezradnie. Ani śladu młodego człowieka. Zapisał więc numer odjeżdżającego autobusu.

2072 DNI

Uparty drań! Te słowa same cisnęły mi się na usta.

— Nie przeskoczysz — tłumaczę mu cierpliwie — nie dasz rady. Oni zduszą, złamią. Wschodnia polityka tu panuje. Uwierzyć starem. Tyle przeżyłem, mam doświadczenia w tym względzie.

On na to:

— Zmaglowali ciebie, przetrącili ci grzbiet, dlatego tak krzyczysz.

Jakby mi w pysk dał! Rodzony syn tak mówi do ojca!

— Ty gówniarzu! — aż mnie zatkało i krew uderzyła do głowy.

Synowa zorientowała się i napełniła kieliszki. W swoim gronie siedzimy przy stole. Młodszy wnuk już śpi. Starszy jeszcze bawi się na podłodze. Pociąg rozstawia. Sprytna zabawka, zagraniczna. Pociąg rusza. Staje przed semaforem. Rusza znów.

Serce mi się raduje. Udane chłopaki. Te moje wnuki. Toteż z innej beczki zaczynam:

— W porządku, załóżmy, że masz rację. Nie trzeba dać się zastraszyć. Dalej będziecie robić to, co robiliście. Tylko inaczej, konspiracyjnie. Ale czy ty pomyślałeś o swoich dzieciach? Masz przecież obowiązki. Odpowiedzialność poważna na tobie ciąży...

Wtrąciła się synowa. Nie dała mi wątku dokończyć i już miała gotową odpowiedź:

— W razie czego, to ja się wszystkim zajmę. Dam sobie radę, niech się tatuś nie martwi.

Popatrzyłem na nią. Łatwo mówić! Zajmie się! Śmiechu warte. Po tej chorobie ledwo dyszy. Wyszła na wiór, ciągle te stany podgorączkowe. A skąd pieniądze będzie brała na życie? No, skąd?! Od razu syn pośpieszył z odsieczą:

— W razie czego, to i tata pomoże, no nie?

Bezczelni ci młodzi. Na starych w materialnym względzie nauczyli się liczyć.

Przyjemny nastrój. Zaprosili na niedzielny obiad i tylko nerwy sobie nadaremnie szarpie. Opanowałem się z wysiłkiem i już spokojnie trącam się kielichem z chłopakiem. Jak mężczyzna z mężczyzną.

— Wszystko rozumiem — powiadam. — Tylko nie warto porywać się z motyką na słońce. Należy bezwarunkowo trochę przeczekać...

— E, tam — ręką machnął. — Przedtem tak samo mówiliście. „Nic z tego nie wyjdzie”. „Należy ustąpić”. „Brać, co dają”. „Inaczej zdepczą”. Nie mówiliście tak?! A jednak dziesięć milionów ludzi przystąpiło. To jest siła, to się liczy!

Zakuty łeb. Nic do niego nie dociera. Gdyby tak posłuchał ojca i wyjechał stąd. Pisałem do brata. Brat urządził się zupełnie przyzwoicie. Mieszka już drugi rok w Hamburgu i chętnie ofiarowywał się z pomocą. Prawo pobytu, praca i inne udogodnienia sypią się obecnie na Polaków jak deszcz. Wyśmiał mnie wtedy:

— Opuszczać kraj?! Teraz, kiedy jest szansa?!

Masz szansę, baranie!

Ten jego upór. Kamień. Po mnie to odziedziczył. Ja po ojcu. Tłukł mnie nieraz ojciec i pytał: — Nie będziesz już? — A ja: — Będę! — Przekłeta krew, genetyka, czy jak to nazwać...

— Przecież nie jestem tchórzem — zmobilizowałem się znów i wywodzę logicznie: — pamiętam, podczas okupacji bibułę u mnie trzymali. Cały skład! W kuchni taka skrzynia na węgiel stała i w niej. A w czasie stalinizmu? Spytaj Kwiatkowskiego! Bezpieka go poszukiwała i miesiąc spędził u nas na strychu. Tak jest! Za to wyrok groził!

— To było dawno i między bajki można włożyć — beczcelnie odpowiada ten gówniarz. Uśmiecha się protekcjonalnie. Tak jakby do synowej mrugnął. Bezsilność mnie ogarnęła. I ta wódka wcale nie szła. Śmierdząca taka. Odrzucała. Patrzę na jasne główki wnuków i serce mi się kraje. Ten młodszy jak aniołek. Tak słodko śpi. Co z nimi będzie? Co z nich wyrośnie?

Żeby chociaż synowa była poważna! Tak samo w gorącej wodzie kąpana. Żadnej kobiecej rozważi. Nic. Dobrali się w stogu siana. Siedzimy przy stole. Oni i ja. Jak na szczura na mnie patrzą. Na starego szczura, co wylażł z nory i zaraz schowa się w niej z powrotem. W tym ustroju nawet życie rodzinne nienormalne. Wszędzie wcisnęła się ta łapa.

— Nigdy nie chowałem się za cudzymi plecami — odzywam się ponownie. — U nas w biurze większość pozostała w branżowym związku, a ja jeden z pierwszych do „Solidarności” przystąpiłem i stary, znaczy dyrektor, ostrzegął: — Panie kolego, na to krzywo patrzą w centrali. — A ja nic. Twardo przy swoim stałem.

— Nie ma czym się chwalić — syn na to. — Liczy się, kto teraz przy swoim będzie obstawał.

— Obstawał? — zdziwiłem się zupełnie szczerze. — Na czym to obstawanie ma polegać?

Nic nie odpowiedział. Tylko wstał od stołu i po kątach zaczął szperać. Odstawił donicę z palmą. Odwinął dywan. Kucnął i z dziury jakiejś, czy innego schowka wyciągnął plik papierów. Wyglądził i zaczął czytać półgłosem. To były biuletyny informacyjne tej nielegalnej „Solidarności”. Opisywali przebieg strajków tu i tam. Akcje represyjne. Jak działacze wygarniali do saka. Apel też ogłosili. Jeden z przywódców nie dał się złapać i działał dalej z ukrycia.

— Nie trzymaj tego w domu! — tym razem podniosłem głos. — Natychmiast to wynieść należy albo zniszczyć! — Rękę wyciągam. A on papiery do siebie zagarnął. Nie dał mi ich ruszyć.

Taki to niedzielny obiad. Nerwy i nerwy. Przyszedłem rozprężyć się i nacieszyć młodym życiem. A tu widzę: po równi pochyłej oni się staczają. Dobrana para.

Postanowiłem dać temu spokój. Wstałem od stołu.

— Obiad był smaczny — podziękowałem synowej. — Te pyzy całkiem jak matka robisz... Tyle że wspólnego języka nam brak!

Pokiwali obojętnie głowami.

— Odprowadzę tatę — mówi chłopak.

Milczeniem zbyłem jego słowa. Ale wyszedł ze mną.

Dalej milczenie panowało między nami. Szkoda słów.

Dopiero na ulicy, kiedy podniosłem głowę i spojrzałem na niego, to zbaraniałem wprost. Do kurtki, taką pikowaną kurtkę nosi, miał przyzepsioną całą paradę znaczków. Matka Boska, taka, jaką nosił Wałęsa. „Solidarność”. Coś jeszcze. Coś jeszcze. Parzyły wzrok te znaczki. Jaskrawe, doskonale widoczne. A on wyprężył się i mówi:

— Teraz, kiedy wszyscy chowają dupę w troki, trzeba im rzucić wyzwanie!

Junak! Zagończyk! Rycerz! Z lancą na czołg! Jednak nic nie dałem poznać po sobie. Ziewnąłem nawet sztucznie. Przecież żadną perswazją nie wygram z tym uparciuchem. Wiedzia-

łem tylko jedno: powinien jak najprędzej wrócić do domu. Zobaczę tę wystawę na jego piersi i przyczepią się jak nic. Mogą nawet internować. W mieszkaniu zrobią rewizję. Wolałem nie wyobrażać sobie tego wszystkiego...

W tej chwili zobaczyłem w odległości stu metrów najwyżej taką wachę, czterech. Toteż pozbyłem się gówniarza sposobem:

— O, mam tramwaj! — zawołałem i czym prędzej uściskałem mu dłoń. — Cześć! Na razie!

Dobiegłem do przystanku i dopiero wtedy się obejrzałem. Zawrócił. Chwała Bogu! Już byłem spokojny. Pozbyłem się ciężaru. Wolno, spacerowym krokiem podążyłem przed siebie. Oni szli naprzeciw. Milicjanci. Oczy czujne, każdego nimi obślizgują. I nie wiem, czy to z powodu wódki, która wreszcie podziała, czy to w wyniku rozprężenia nerwowego, diabeł we mnie wstąpił:

— Cześć, mołojcy! — zawołałem.

Przystanęli. Ja też.

— Co jest z wami? — pyta jeden z nich.

— Nic — odpowiadam. — Tylko tak sobie myślę, że tę wojnę przetrzymamy.

W kółeczko mnie biorą.

— Kto przetrzyma? — pyta taki z bakami i oczy mu się wilczo zaświeciły.

— Naród niejedno przetrzymał — odpowiadam. — Ja oświście jestem zahartowany. 2072 dni w podobny sposób przeżyłem i nie dałem się jakoś.

— 2072? — zainteresował się ten z bakami.

— Tyle okupacja niemiecka u nas trwała.

— Tak mówicie?! — krzywo się uśmiechnął ten z bakami. — Taki z was matematyk?!

No i wzięli mnie na 24. Z czego 10 godzin siedziałem w piwnicy, a resztę czasu spędziłem przy odśnieżaniu ulic. Ale chłopaka uratowałem. Bo jakby ze mną szedł, to jego by wzięli jak nic.

BABILON UPADA !

Trzech. Dzienna wacha. Przy nich taki w półkożusku, wyglądu przyzwoitego, szczupła twarz i myślące oczy, był pod

krawatem. Niósł kubek z farbą i pędzel miał pod pachą. Kubek niósł z wyraźną niechęcią. Pędzel poprawiał co raz, żeby nie zapaskudzić sobie kożucha. Pewnie jeden z tych zagnanych do przymusowej roboty za przekroczenie policyjnego czasu. Ta wacha mury domów kontrolowała. Starych napisów wypatrywali. I te świeże tropili. Bo świeże też pokazują się z rzadka.

Tu jeszcze stary KPN przeświecał spod niedbałego zamazania. Kazali temu w półkożuszku poprawić. Machnął pędzlem zamazyscie. Zieloną farbą mur zachlapał. Raz i drugi. KPN znikł zupełnie.

Tam na budynku państwowego urzędu kotwica kłuła oczy zadziornymi. Też machnął pędzlem. Zamazał. Jakiś czas nie było nic. Aż zatrzymali się przy fabrycznym murze. Resztki plakatów. Żle zdarte. Całe słowa, a nawet zdania pozostały czytelne. Musiał zeszkrobać. Miał taką szpachlę murarską w kieszeni. Szpachlę przeciągnął po murze. Zazgrzytało przeraźliwie. Kapral przyglądał się jego robocie z bliska i oddalenia.

— Przeciągnij pan jeszcze raz!

Był służbistą i kilka razy zmuszał cywila do poprawek.

Cywil zamruczał coś niezrozumiale. Ale starał się. Jeszcze musiał tę ścianę farbą zamazać. Połę kożuszka sobie poplamił. Kapral zobaczył zieloną kroplę. Uśmiechnął się. Nic nie powiedział.

W bramie zrobili krótki postój. Ten w półkożuszku wyciągnął papierosy. Lepszy gatunek. Poczęstował żołnierzy. Postali tak. Przeszli z nogi na nogę. Nie przechodził nikt. Pusto. Nudno. Poszli dalej.

Ulicę zamykał gmach biblioteki. Masywna to budowla i małe okienka posępnie niby czyjeś złe oczy spoglądały na nich z góry. Niżej mur znaczył wielki napis: „BABILON UPADA!”. Mur był piaskowego koloru, litery czarne. Ten „BABILON” mocno bił w oczy. Przystanęli.

— Babilon upada — przeczytał półgłosem kapral. Twarz miał szeroką i malinowe rumieńce zdobiły mu policzki.

Dwaj jego podkomendni patrzyli w zupełnie inną stronę. Z pobliskiej kawiarni wybiegły rozchichotane dziewczyny.

— Babilon upada — powtórzył ze staranną dykcją ten w półkożuszku.

Kapral zamyślił się. Znał już na pamięć te różne hasła, napisy i symbole. Takiego nie było na żadnym murze dotychczas.

— To analogia ze starożytnej historii — odezwał się ponow-

nie ten w półkożuszk. Twarz miał poważną, myślące oczy. — Neutralny napis — dodał i odsunął od kożuszka kubetek. Wyraźnie był pedantem i bardzo uważał na swoje eleganckie, zimowe okrycie.

Kapral poruszył ociężałe ręką.

— Nie podpada — zdecydował.

Ruszyli. Szli wcale nie wojskowym, byle jakim krokiem. Kapral na przedzie. Za nim ten w półkożuszk z kubkiem i pędzlem pod pachą. Dwaj żołnierze kilka kroków z tyłu. Oni ciągle jeszcze oglądali się za tymi dziewczynami.

— Kurwa mać! — wybuchnął nagle cywil. Spostrzegł wreszcie tę jadowicie zieloną plamę, która zapaskudziła mu połę półkożuszka.

RÓG OBFITOŚCI

Kępka jestem. Stanisław Kępka. Na rencie. Z powodu choroby wrzodowej. Miałem dwie operacje żołądka. Od dawna szukałem jakiejś niezłej roboty na pół etatu. Papiery mam prawdziwe. Partyjny. Zaraz po wojnie służyłem w milicji. W akcji na bandy zostałem ranny w łydękę. Miękki postrzał. Wykształcenia jestem raczej słabego. Jednak pracę spełniałem biurową. W kadrach. Tam potrzebowali pewnych ludzi. Był to czas, kiedy dopiero umacniała się władza ludowa i wielu farbowanych lisów wkradło się tu i tam. Należało ich papiery przeświećlać. Zasięgać języka. Obowiązki swoje wykonywałem z całą odpowiedzialnością. Były próby przekupstwa, ale się nie dałem złapać na lep mamony. Zresztą za takie coś pakowali od razu do piwnicy Urzędu. Po październiku roku 1956 zwolnili mnie z kadr. Wtedy wielu ludzi z resortu znalazło się na bruku. Nawet ten kapitan, z którym jako kadrowiec miałem stałe kontakty, został wyrzucony z roboty. Potem dostałem zatrudnienie jako magazynier w Centrali „Społem”. Za ustrojem od samego początku obsta wałem i nigdy nie przestałem obsta wać.

Mój pomocnik w magazynie, niejaki Stojaszczyk, raz po wódce tak powiedział:

— Wiesz ty Kępka? Cała Polska od Bałtyku do Tatr, od Bugu po Odrę z Nysą Łużycką, to jeden wielki obóz i w tym obozie jest kilkaset karcerów, to więzienia!

Zła krew mnie zalała i raport złożyłem na tego reakcyjnego gada. Ale czujność u nas podupadła. Nic mu nie zrobili.

Żołądek od wielu lat miałem popsuty i było z nim coraz gorzej. Na tym magazynierstwie doczekałem do renty. Dało radę z niej żyć. Ale nudzić się zacząłem. Nie przywykł człowiek pracy do czasu wolnego w takim nadmiarze. Na piwo chodziłem, gry liczbowe obstawiałem i wypełniałem kupony. Rozmyślać zacząłem, żeby znaleźć sobie coś na pół etatu. Zgłosiłem się do dzielnicowej partii i swoją gotowość wyraziłem. Zapisali moje dane personalne i kazali czekać. Czekałem i czekałem. Dopiero na miesiąc przed wojną zostałem zatrudniony. Robię jako portier, trzy razy w tygodniu po 12 godzin. Urzęduję na parterze w pięknym wieżowcu, gdzie sami cudzoziemcy mieszkają. Istna wieża Babel. Wszelkiego koloru oni są, od żółtego po czarny jak sadza. Mówią swoimi językami. Szwargot taki. Niektórzy nawet po naszymu porozumiewają się biegle, tyle że niektórych słów w żaden sposób nie potrafią wymówić. Warunki są dobre. Siedzę sobie w hallu, mundur mam brązowy z zielonymi wyłogami, patrzę na oszklone, wahadłowe drzwi. Tymi drzwiami wchodzi i wychodzi. Naprzeciwko jest budka i tam urzęduje milicjant. Z nim mam stały kontakt. Praca wymaga delikatnego podejścia i szczególne polecenia otrzymałem. W resorcie pewien cywil, wysoki, elegancki, poinformował, jak należy na tym posterunku pracować. Nie byle jaki to posterunek. Imperializm ostatnio wzmógł dywersję przeciw naszemu ustrojowi. Macki swoje zapuszczają wszędzie. Obcy pieniądź ważną w tym odgrywa rolę.

— Więc wiecie, towarzyszu, co do was należy? — zapytał na koniec.

Co miałem nie wiedzieć. Wielka jest we mnie nienawiść do reakcji i spodobał mi się ten cywil. Przemówił do serca.

W pierwszym rzędzie należy uważać na tych Polaków, którzy odwiedzają cudzoziemców. Przepytań takiego. Dowiedzieć się, co za jeden i komu składa wizytę. Uprzejmie oczywiście. Dane osobowe zapamiętać. Notuję sobie to wszystko w specjalnie do tego przeznaczonym zeszytiku i drogą służbową mam obowiązek raz w tygodniu raport przekazać. Powinność swoją rozumiem i oka nawet nie zmrużę, choć ciepło tam i nieraz głowa sama opada na piersi.

Najwięcej gości przychodzi do tego rudego Anglika, który mieszka na siódmym piętrze. Podejrzany ten Anglik. Rozległe utrzymuje znajomości. Co dzień ktoś do niego przychodzi. Dziwki sobie sprowadza. Wyuzdane ładacznice. Za pieniądze ciałem mu służą. Jedna taka dolara raz mi wetknęła w kieszeń.

Była pijana. Sprzątaczką akurat schodziła z góry i widziała. Nie przyjąłem tego dolara. Sprzątaczką też na pewno raporty składa. Anglikowi nisko się kłaniam jak wszystkim. Zawsze wstaję ze swego fotela, kiedy ten, czy inny cudzoziemiec pokaże się w polu mego widzenia. Nawet wobec Murzyna nie czynię żadnej różnicy. Uśmiechają się do mnie ci cudzoziemcy, po swojemu bełkoczą, klepią po plecach i tak dalej. Najgrzeczniejsi są Japończycy. Ja im ukłon składam, oni mnie. Bardzo grzeczni. Ci z Tajlandii i jeszcze skądś tam też dobrze wychowani.

Ten Anglik z góry na mnie patrzy. Wysoki, w kraciastej marynarce, nie nosi wcale zimowego okrycia i od razu z hallu przelatuje do swego wozu. Wóz ma elegancki, srebrzysty. I jedzie gdzieś. Czy to nie szpieg jakiś? Przy tym hojny, nie mogę powiedzieć. Puskę szynki mi dał. Polish Ham. Ananasy i swoją koszulę z płamą od smaru na rękawie. Przyjąłem. To są prezenty przecież.

Patrzę tak na tę rudą gadzinę, ale nic po sobie poznać nie daję. Gazety mu z kiosku przynoszę. Czyta nasze gazety.

Jeżeli chodzi o pensję, to grosze dostaję. Jednak boki mam. Nie było dnia, żebym coś od tych cudzoziemców nie dostał. Na przykład Japoniec. Sprezentował mi gazową zapalniczkę z napisem Toyota. Ci z Tajlandii wracali z jakiejś bibki, baby w długich sukniach, chłopcy w czarnych tuzurkach. Napiwkami mnie obdarzyli. Pięć dolarów, trzy papierki i bilon. To jest grosz. Dolar do siedmiuset złotych dochodzi. W te ostatnie dni przed Bożym Narodzeniem, czy Nowym Rokiem, to wynosiłem całe torby prezentów. Jak z rogu obfitości po prostu. Zmianę miałem najlepszą. Do dziesiątej wieczór. Czas policyjny obowiązuje i wszyscy o tej porze wracają. Ten z nocnej zmiany zazdrościł. On dużo mniej wynosił.

Chwałę sobie ten obowiązek. Papierosy popalam zagraniczne, różne te Dunhile i Malbory. Trunkami przednimi gardło zwilżam. Napoleonem albo tą amerykańską gorzałką, co pluskwami zajeżdża. Nie narzekam i jedno tylko pragnienie mam duszę nurtuje, żeby tego rudego Anglika osobiście drapnąć! Z dowodem znaczy. Na dywersji jakiejś czy szpiegostwie. Siedzę w miękkim fotelu, notes na kolanach trzymam, drzwi wejściowe obserwuję i na windę mam baczenie. Myślę o tym Angliku. Minę tego drania widzę. A ja: „Komm!” — do niego. I palcem kiwam. Cały się trzęsie. Błaga. Przekupić chce. A ja nic. Haltuję go i do budki milicyjnej odprowadzam. Ale zarazem czuję, że ten rudy Anglik też mnie wyczuwa. Cwany!

KANAREK

Kubuś był już bardzo stary.

— Oboje jesteśmy w podobnej kondycji — mówiła babcia i traktowała kanarka jako równorzędnego partnera.

Wiedziała doskonale, kiedy mu dopisuje humor, a kiedy jest w złym nastroju. Znała wyraz jego oczu i umiała z nich czytać. Dogadzała mu jak mogła i do niego najchętniej wygłaszała swoje długie monologi z nieoczekiwanymi pointami. Ruchy jego dzióbka, czy zachodzące bielmem ślepka, były dla niej odpowiedzią, aprobatą lub przeczeniem.

— No tak — mówiła wtedy — masz rację. Ale czy mogłam postąpić inaczej?

Opowieści dotyczyły przeważnie odległej przeszłości. Sięgały lat panińskich babci. Pobytu na pensji, Petersburga i różnych perypetii osobistych, związanych z pierwszą wojną światową i rewolucją w Rosji.

Rankiem zaś największą przyjemnością dla babci były trele, które wyśpiewywał kanarek. Wskakiwał na najwyższy pręt w klatce i stamtąd zaczynał. Babcia siedziała naprzeciw zasłuchana nabożnie. A kiedy ktoś wchodził nieoczekiwanie, przykładła palec do ust i nakazywała ciszę. Uważała Kubusia za niebywałego śpiewaka. Carusa wśród kanarków. Czystość jego głosu, wysokość tonów i bogactwo melodii nieraz bywały przedmiotem rozmów, które prowadziła z nami przez telefon.

Toteż przeżyła dramatycznie ten pierwszy ranek, kiedy Kubuś nie odezwał się wcale. Kanarek był kapryśny i potrafił nagle nastroszyć się jak czupiradło i zaatakować palec wsuwający się do klatki. Dziobał zaciekle.

— No już, już — mówiła łagodnie babcia.

Łudziła się więc, że ten ranek bez śpiewu jest kaprysem kanarka. Oczekiwała, że następnego dnia odezwie się znów. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Kanarek przestał śpiewać.

— W mieszkaniu jak w domu żałoby — oświadczyła babcia i te słowa najlepiej charakteryzowały jej stan.

Spoglądała na Kubusia, który drzemał wsunawszy łeppek pod skrzydło. Ogarnął ją niepokój. Może kanarek jest chory? Rozpoczęła z nami pertraktacje o zawieszenie kanarka do przychodni dla zwierząt. Finał tej sprawy odroczyło ogłoszenie stanu wojennego.

Zapomnieliśmy o tym po prostu. Odwiedzaliśmy babcię z rzadka przywołując jej niezbędne wiktuały oraz wymieniając nerwowe i chaotyczne poglądy o smutnych wydarzeniach w kraju. Babcia była jeszcze bardziej niż my wytracona z równowagi. Wyłączono przecież telefony i straciła jedyną możliwość kontaktu z ludźmi. Ze względu na reumatyzm bowiem nie wychodziła prawie wcale z domu. Z bezsilnym wyrzutem spoglądała na dwa przedmioty w pokoju. Na czarne pudło telefonu i klatkę, w której siedział niemy kanarek. W związku z powyższym, nie mówiąc już o tym, czego zaznała w przeszłości, babcia była pesymistką.

— Sowiet jest jak wąż — powiadała niby wróżka. — Obiecuje, obiecuje, a potem rzuca się znieńacka i dusi!

Przez ostatnie kilka dni nie odwiedzaliśmy babci. Aż wreszcie przywrócono łączność telefoniczną w naszym mieście.

Pierwsza zadzwoniła babcia. Na początku głos nagrany na taśmę poinformował ją monotonicznie. „Rozmowa kontrolowana, rozmowa kontrolowana”. Stropiła się nieco, ale przeczekwała ten refren i kiedy już uzyskała połączenie, zawołała radośnie w słuchawkę:

— Wiecie, moi drodzy, kanarek zaśpiewał!

W aparacie coś beknęło i tym razem żywy, surowy głos zwrócił się do babci:

— Proszę nie szyfrować! W przeciwnym razie wyłączymy telefon!

— Zwariował! — oburzyła się babcia. — Przecież mówię wyraźnie: kanarek zaśpiewał.

Ponownie coś beknęło w aparacie i wyłączyli naprawdę.

Kreśliła babcia cyfry na tarczy, stukała słuchawką w widelki. Nic. Głucha cisza. Odcieśli ją od świata. Tyle że Kubuś zaczął śpiewać. To bardzo wiele jednak. Wybraliśmy się z babcią do Rady Narodowej. Mieliliśmy pismo z komitetu blokowego. O faktycznym istnieniu kanarka. Czekamy w kolejce. Dużo petentów do pokoju kierownika. Babcia stoi cierpliwie, wsparta o dwie laski, i powiada:

— W Rosji całą rewolucję przeżyłam, a potem czerwony terror i nigdy coś podobnego...

Próbujemy mitygować babcię. Oburza się:

— Co tam! Cicho!

Czekamy.

— Proszę nie szyfrować! — podnosi głos babcia. — Zwariował!

Ludzie się oglądają.

BUFET

W ministerstwie są dwa bufety. Jednak ten na dole jest lepiej zaopatrzony. Prowadzą dwie obrotne kobiety. Jedna dama. Druga — wulgarna i nieprzyjemna. Siłą rzeczy też mają trudności. Mimo to choć raz w tygodniu coś atrakcyjnego pojawia się u nich. Od rana sprawdzam. Wszyscy sprawdzają. Z naszego korytarza na parterze jest najbliżej. Schodzimy do piwnicy i sprawdzamy. W nieoczekiwanych godzinach przywożą towar. Z tą damą można się porozumieć. Grzecznie informuje, kiedy jest nadzieja na kupno czegoś. Z reguły koło południa bywa dostawa. Ta druga bardzo opryskliwa.

— Będzie albo nie będzie — odpowiada. — Trzeba uważać.

Nigdy nic nie odłoży. W ogóle one zważniały. Czują swoje znaczenie. A ludzie pokorni. Każdemu zależy, żeby zdobyć coś dla domu. Dzisiaj już dwa razy schodziłam na dół. Nic.

— Kochanie — powiedziała ta dama — na razie nie ma żadnych widoków.

Przystojna, starsza pani. Kiedyś też pracowała w biurze, zwolniła się i wzięła bufet w agencję. Umarł jej ktoś bliski? Była w czarnej sukni.

Siedzę w pokoju i nudzę się jak mops. Pracy niewiele. Może jak przywrócą teleksy? A tak, w jaki sposób porozumieć się z terenem, czy dane do bilansu zbierać. Sam dyrektor ręce rozkładał.

— Jesteśmy bezradni... — chciał już psioczyć, ale opanował się i dodał: — Wyższa konieczność! Tak musi być.

Na Zośkę, która siedzi naprzeciw, nie mogę patrzeć. Wszystko spływa po niej jak po kaczce. Lakieruje sobie paznokcie. Zęby ogląda w lusterku. Zęby ma piękne, równiutkie, białe... Czy ona wstydu w ogóle nie ma? Jej mąż brał w pracy kartki żywnościowe dla siebie i dla niej. Wydała się ta brudna afery. Publicznie o tym mówiono. Partia to wychwyciła i piętnuje. Chcą się czymś wykazać. Odnowili się i walczą o czystość szeregów. Uczepili się Zośki. Ona jest członkiem partii.

— Niech mnie wywalą! — śmieje się Zośka.

Głupia. Amoralna. Zazdroszcze jej tej bez troski. Niczym się nie przejmuje. Kompletnie. Wyszłam z pokoju. Napatoczył się na mnie ten zezol z kadr, ale nic nie powiedział. Zajrzałam do bufetu. Tam już było pięć osób ustawionych w kolejce.

— Dają coś? — pytam.

— Nie — odpowiada jedna pani, znam ją z widzenia, pracuje

na czwartym piętrze w PKO. — Ale telefonują gdzieś. Coś ma być.

Rzeczywiście. Słysząc z zaplecza jakąś rozmowę. Bufet pusty. W gablocie tylko wczorajsze pączki. Nie miały wcale powodzenia. Gliniaste, leżały jak kamień w żołądku.

Już kilkanaście osób za mną. Ciągłe ktoś przybywa. Czekamy.

Wyszła z zaplecza ta nieprzyjemna, opryskliwa baba.

— Czy coś będzie? — pytają ludzie.

— Bo ja i wiem? Podobno mają przywieźć pasztetową.

Ludzie ożywili się.

— Ale — dodała — ministerstwo chce przejąć cały przydział dla swoich strażników.

Tych strażników cała sfera w związku ze stanem wojennym. Nigdy ich tylu nie było w tym gmachu.

Ludzie przygaśli. Stracili nadzieję. Ale stali. Pokazał się ktoś z trzeciego piętra. Facet. Niósł wypchaną torbę.

— Salceson dają — powiedział.

Rzuciliśmy się wszyscy do tamtego bufetu na górę. Nim tam dobiegłem, kolejka ciągnęła się już przez cały hall. Nawet ładny salceson. Świeży. Znajoma pielęgniarka pokazała. Po ćwierć kilograma sprzedawali. Jednak załamałam się. Nie miałam zdrowia na taką kolejkę. Zresztą gdybym nawet czekała, to czy starczy dla mnie? Zrezygnowałam. Schodzę powoli w dół. Może coś na mieście zdobędę. W sklepie serowarskim. I zamiast zatrzymać się na parterze, zeszałam na sam dół. Tam pusto. Nikogo przy ladzie. Ale w gablocie coś jest. Podchodzę. Patrzę. Kotlety.

— Co to jest? — pytam.

— Kotlety — odpowiada ta dama.

Kupiłam dziesięć. Nie było wcale limitu.

Minę miałam dosyć zaskoczoną, bo wyjaśniła z życzliwym uśmiechem:

— Dla strażników zabrali tylko samą pasztetową.

Taki szczęśliwy przypadek. Kotlety mięsne, ale razem z kapustą smażone. Oryginalne. Dosyć smaczne. Odchodziłam od lady z zakupem, a tu już z góry biegli ludzie. Skończył się salceson. Rzucili się do kotletów.

S Z C Z U R

Wzwał mnie kierownik i tak zaczął:

— Panie Kwiatkowski, nie będę niczego owijał w bawełnę,

rzecz całą pragnę wyłożyć wprost — i patrzy na mnie wymownie. Czekaj.

Wzroku swego nie cofam i też czekam. Bardzo to piękne. Szczerść. Niech wali dalej.

— Zapali pan? — Caro z kieszeni wyciągnął.

Odmówiłem. Swoje wyciągam.

— Sporciki tylko palę.

Zapaliliśmy. Źle mu dym poszedł. Kaszel go chwycił. Zapłuł się i zapłakał. Wykaszłał się i mówi:

— Rozumiemy się znaczy? — zajrzał do szuflady biurka. Papierami zaszeleścił. Głowę podniósł i znów patrzy na mnie wyczekująco.

Milczę.

To on wtedy tak:

— Inny był czas do tej nocy pamiętnej, grudniowej. A inny po niej się zaczął — i uśmiechnął się szeroko, złotymi zębami błysnął. — Też to przeżyłem — uśmiech na gębie zlikwidował. — Taki wstrząs! Bardzo to było bolesne. Ale konieczne! Uwierzyć mi, chłopie! — teraz oczami uciekł gdzieś w bok.

Mało w tym było szczerści. Krętym sposobem do czegoś zmierzał.

— Czyli, idę do rzeczy: już nie jest tak, jak było. Trzeba zdać sobie z tego sprawę... — szukał słów, kombinował, żeby słowa w zdania powiązać, opornie mu to szło. — No pewnie! Dobrze było. Ale do czasu. Już to, co było, nie jest dobre. Nawet złe. Tak, Kwiatkowski! Nawet złe! — brakło mu słów, usta otworzył i nic. Utknął. Rękę do szuflady wsunął i zaszeleścił papierami. Tam miał jakieś oparcie. W tych papierach. Od razu to wyczułem. Czyli jakąś kartę chował w rękawie. Nie wyłożył jeszcze szuler swej karty.

Zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę.

— Tak, ja! Jestem obecnie zajęty! — krzyknął ze złością i buch! odłożył słuchawkę.

Papierosa zapalił. Już mnie swoim nie częstował. Wiedział, że nie przyjmę. Nie było we mnie żadnego niepokoju. Przygotowałem się na najgorsze. Niech wejdą. Zakupą w kajdanki. Wywiozą. Proszę bardzo!

Może wyczuł to? Wiercił się na krześle. Dupę poprawiał. To bokiem, to całym tyłem się sadowił. Ledwie co zapalonego papierosa w popielniczkę zdusił.

W pierwszym strajku nie brał udziału. Później się przyłączył. Razem do pierwszych wyborów byliśmy w komisji zakładowej. Czyli łączyło nas to i owo. Właśnie z tej beczki znowu zaczął:

— Szliśmy ręka w rękę, Kwiatkowski — powiedział. — I szuja nigdy nie byłem ani żadną wtyczką. Szczerze działałem. Pokiwałem głową. Tak było. Prawdę na razie mówił.

— Rozumiemy się? O właśnie! — uczeplił się mojego kiwnięcia głową jak tonący brzytwy. — Tak od początku myślałem. To zresztą będzie w interesie całej załogi. Uspokoją się ludzie, nerwy im odejdą. Może nawet zwolnią aresztowanych? Mogą to zrobić! — zawiesił głos i nachalnie wpatrzył się we mnie.

Nieszczere te jego oczy, zamącone.

Zaraz rękę wyciągnął:

— Przybijemy graby na zgodę, tak?

Ani myślałem swojej ręki wyciągać:

— Przecież nie gniewaliśmy się, kierowniku — wyjaśniłem spokojnie.

Utrudniłem mu zadanie. Ręka opadła. Łeb opuścił. Kombi-nował.

— Czyli, Kwiatkowski... — już nie patrzył, mówił ze zwieszonym łbem — musisz podpisać taki papierek. Ciach, mach i po kłopotcie!

Zrozumiałem nareszcie, o co mu szło. Sprzedał nas. Judaszowa rozmowa. O to mu szło.

— No i co? — zapytałem.

— Jak to co? — podniósł głowę i oczy wybałuszył.

— Gdzie ten papier?

Cały się rozpromienił. Odetchnął z ulgą. Szybko wsunął dłoń do szuflady. Jakie zwinne te paluchy grube mu się zrobiły! Papierek niewielki z pliku innych papierów wyłuskał. Delikatnie, dwoma palcami położył na biurko. Podsuwać mi zaczął. Uśmiechał się przymilnie. Oczy w zmarszczkach mu się pochowały. Świecące takie. Jeszcze coś przyjacielskim głosem mówił. Ale tego, co mówił, już nie słyszałem. Zmieniać mi się zaczął w oczach. Przepoczwarzał się. Obrzydliwe to było. Ale tak było naprawdę. Zrzucał człowieczą skórę. Przybierał zwierzęcą postać. Te łapy włochate... Tłusty, a zwinny... Spiczasty nos... Oślizłego ogona brakowało mu tylko. Wzdrygnąłem się. Zawirowało mi w oczach. Poderwałem się. Już człowieka wcale w nim nie widziałem. Mam wysokie ciśnienie i z nerwów czasem uderza mi do głowy. W biurko pięścią rąbnąłem.

— Ten papier to nawet do podtarcia tyłka nie pasuje! Za brudny! — wstałem i pochyliłem się nad nim.

Cofnął się z krzesłem do tyłu. Twarz rękami osłonił.

— Bić cię nie będę — powiedziałem. — Szkoda rąk!

Czapkę włożyłem i do drzwi podeszedłem.

Odetchnął. Chustką obtarł spoconą twarz.

— Zobaczymy... — powiedział przez zaciśnięte zęby. — Jeszcze zmiękniesz!

Trzasnął drzwiami.

Od dwóch tygodni mam przeniesienie służbowe. Już nie pracuję na produkcji. W ramach działalności ubocznej nasz zakład prowadzi chlewnie. Niegłupi pomysł. Przynajmniej resztki ze stołówki są należycie wykorzystane. Świniaków tam trzymamy trzydzieści sześć sztuk. Właśnie do tej chlewni zostałem przeniesiony. Z początku nie mogłem się przyzwyczaić. Świnie charczą, kwiczą. Żarłoczne takie. Własne gówno jedzą. Smród. W gnoju się taplają i szczurów tam pełno wyłazi wieczorami. Przyzwyczajam się pomału. Mam taki zaostrzony drązek i poluję na szczury. Piszczą. I co trafię któregoś, to się śmieję i kierownika sobie wyobrażam.

— Kierownik raz! — powiadam — kierownik dwa!

Zakłułem już z dziesięciu kierowników.

WIZYTA

Dorota trzęsała się jak galareta. Tym razem musiały ich wpuścić. W ubiegłym tygodniu raz już byli, późnym wieczorem, i ona powiedziała przez drzwi, że dziecko jest chore i nie może ich przyjąć. Dziś wpakowali się znieńacka. Akurat pani Szmidtowa, opiekun społeczny, była u niej. I ja weszłam pod pretekstem, że mleko dla dziecka przynoszę jej ze sklepu.

Dwóch ich było. Okazali legitymacje. Małe, podłużne, w granatowych okładkach. Bardzo grzeczni. Od razu w przedpokoju zdjęli buty.

— Należy szanować pracę rąk — powiedział jeden, wypasiony, przystojny chłop.

W skarpetkach weszli do pokoju. Rozglądają się. Niby jak w gościach. O pogodzie mówią.

— Grypa się szerzy — odezwał się drugi, prostackiego wyglądu i zachowania człowiek. Oczy takie małeńkie, w uśmiechu zupełnie niewidoczne. Natomiast ten przystojny powierzchowność miał zupełnie przyjemną. Pozory mylą.

Dorocie wszystko leciało z rąk. Popielniczkę im na stół stawia. Tę piękną, kryształową popielniczkę po dziadku. Wysunęła się jej z palców. Przystojny zręcznie w powietrzu uchwycił.

Patrzą na nią jak koty na mysz. Ona drobnutka taka,

chucherko, w tej domowej sukieneczce z przodu zapinanej na guziki. Włosy sobie rano myła, rozpuszczone, sypkie. Istna topielica.

Właśnie wtedy pojawiłam się tutaj. Bo już mówili na podwórzu, że przyszli do Doroty. Myślę: trzeba ratować dziewczyninę. Mleko w plastyku wzięłam z lodówki i wchodzę.

Popatrzyli bystro na mnie. Potem na panią Szmidtową.

Pani Szmidtowa wyprzedziła ich pytanie.

— Jestem opiekunem społecznym — oświadczyła — i pomagam wszystkim potrzebującym. Ona szczególnej opieki potrzebuje. Samotna osoba z dzieckiem.

Przytaknęli uprzejmie.

— Grunt to dobre sąsiedztwo — powiedział przystojny. — A pani, droga Doroto, nie może na sąsiadki narzekać, prawda? — tak poufale do niej się zwrócił i na te nożyny spod niedopiętej sukienki popatrzył.

Dorota ma zupełnie zgrabne nogi, może zbyt szczupłe.

— Tak jest — przytaknął drugi. Był nieobyty, wcale nie wiedział, jak podtrzymywać rozmowę. — Te sąsiadeczki są na zawołanie — dodał po chwili i na mnie i na panią Szmidtową popatrzył.

Nie pasowało im wyrażnie, że my tu jesteśmy. Ani myślałyśmy pozostawiać Dorotę samą. Taka niezaradna. Na przykład jak u niej w biurze rozdzielali paczki z Czerwonego Krzyża, to koleżanki dały jej najgorszą. Mimo że należała się pierwszego gatunku jako dla matki z dzieckiem. Wzięła i nie powiedziała ani słowa.

Przez chwilę panowała cisza. Przystojniak papierosa palił. Dym wypuszczał nosem i ustami. Tak na przemian. Ustami umiał takie zgrabne wianuszki wydmuchiwac. Większe, mniejsze i zupełnie małe. Nogę na nogę założył i patrzył na te wianuszki rozplywające się w powietrzu.

Drugi ręce zaplótł i palcami młynka kręcił. Nieładne miał palce, grube, krótkie, w dodatku porośnięte kłakami.

Dorota w tej ciszy jeszcze gorzej się poczuła. To na jednego, to na drugiego spoglądała. Zupełnie oszalałe oczy. I na nas z błaganiem. Pani Szmidtowa nie wytrzymała i mówi:

— Czy ty, Dorotko, pamiętasz? Z dzieckiem masz dzisiaj iść do przychodni.

Ja też pośpieszyłam z pomocą:

— Niedługo musisz ubrać bobasa. Jesteś czwarta w kolejce do pani doktor.

Przystojny roześmiał się naraz. Bezcelnie tak.

Drugi popatrzył na łóżeczko, gdzie spał synek Doroty.

— Ładny bobasek — cmoknął jak do psa. — Czekoladka taka...

Jeszcze bardziej spieszył Dorotę. Najpewniej uznała to odezwanie za szyderstwo. Jest panną z dzieckiem. Ojciec dziecka był studentem. Kubańczyk. Wyjechał z Polski i szukaj wiatru w polu. Dorota dwa razy chciała się topić w gliniance.

Pani Szmidtowa, która jest opiekunem społecznym, też uznała, że zadrwił ten drugi po prostu.

— Czekoladka nie czekoladka! — zjeżyła się cała. Dorotę jak matka traktuje. — W jakiej właściwie sprawie panowie przyszli?

Przystojniak papierosa starannie zdusił w popielniczce.

— Proszę okazać dowód — zwrócił się do pani Szmidtowej.

Od razu straciła cały rezon. Dowód miała w torebce.

Przeglądał i przeglądał. Pokazał drugiemu. Oddali wreszcie. Ode mnie dowodu nie zażądali.

— No tak... — odezwał się przystojniak. Starannie podciągnął nogawki, żeby spodni nie wypchać sobie w kolanach. — To panie są wolne... A pani to pod 20-tym mieszka, tak?

Przytaknęłam. Skąd o tym wiedział? Przecież nie mówiłam mu, pod którym mieszkam.

Drugi wstał.

Co miałyśmy robić. Wyszłyśmy z mieszkania. Pani Szmidtowa cała w wypiekach. Od razu do męża pobiegła. Stał przy śmietniku. A ja wcale do swego mieszkania nie wróciłam. Co będą mnie nachodzić i węszyć. Poszłam do parku. O Dorocie myślałam. Może ona kiedyś nieopatrnie na coś się zgodziła? I teraz chce uniknąć przykrego zobowiązania. Nie wiadomo.

W R Ó G

Została internowana i oni protestowali. Szczeniaki. Rozbisurmaniła się ta młodzież. Od starszych nauczyła się tego ujadania, strajkowania i wszelkiego warcholstwa. Wystosowali apel. Przybili do tablicy ściennej w głównym hallu. Podpisali się wszyscy. Długie słupki podpisów. Treści wiadomej, zaczepnej i prowokacyjnej. „Domagamy się uwolnienia naszej nauczycielki języka polskiego, pani Joanny Winnickiej...”. I tak dalej. Odpis apelu doręczono dyrektorowi. W szkole wrzało jak w ulu. Na pauzach tylko szu szu! O tej nauczycielce. O tym apelu. Ale to już nie te czasy. W szkole był komi-

sarz wojenny. Major Stachoń. Kombatant powołany z rezerwy, uczestnik całego bojowego szlaku jako dziecko pułku. On nie lubił się patyczkować. Znany jako służbista. Nawet w pracy cywilnej wymagał od podwładnych wojskowego posłuszeństwa. Właściwie nie przepadał za cywilnym życiem. Wydawało mu się chaotyczne i byle jakie. Brakiem subordynacji podszycie. Najchętniej wspominał czas służby żołnierskiej. Nie mówiąc już o prawdziwej wojnie, kiedy Druga Armia Wął Pomorski forsowała i tam chrzest w ogniu bitew otrzymał.

Początkowo w tej szkole, Liceum Ogólnokształcącym im. Marii Konopnickiej, czuł się nieswojo. Komisarz szkoły! Co ma czynić? Czuwać nad dzieciarnią? Wcale mu to nie odpowiadało. Ale służba nie drużba.

W sali gimnastycznej wygłosił wykład o stanie wojennym dla ostatnich klas. Wykład powtórzył w tej samej sali dla klas niższych.

Wyprostowany jak świeca, w galowym mundurze, z baretkami odznaczeń. Głos miał donośny i nie używał mikrofonu. Słuchali. Ale ich oczy mu się nie podobały. Miny także. Nie było żadnego porównania z kompanią, czy innym oddziałem lub pododdziałem, do którego nieraz w swoim życiu przemawiał major Stachoń. Szczególnie rekruci to był wdzięczny materiał! Ogolone łby, wpatrzone pilnie oczy i chórem odpowiadali na każde pytanie. Wszystkiemu potwierdzali i, jeżeli trzeba było, wszystkiemu przeczyli. Najbardziej lubił wchodzić i wychodzić. Szurgot butów i całość podrywała się na baczność. Tutaj natomiast było zupełnie inaczej. Na tyłach szeptu jakieś i śmiechy. Dwa razy gubił wątek i gdyby nie fakt, że temat miał opracowany na medal, jak nic mógłby się pogubić całkowicie. A na zakończenie, kiedy dziarskim głosem rzucił rytualny akord: „Pytania są?” (dotychczas, na wykładach dla prawdziwych wojaków, zawsze odpowiadało mu milczenie; wtedy koronował ostateczną pointą: „Zrozumiano wszystko?”, na co chór głosów, jak jeden potężny głos, odpowiadał: „Tak jest!”), tu, w sali gimnastycznej Liceum im. Marii Konopnickiej, podniósł się z pierwszego rzędu ławek szczupły chłopak, taki mizerak o trójkątnej twarzy, z nieprzyzwyczajenie długimi włosami, i głosem dźwięcznym i silnym, zastanawiającym jak na taką niepozorną posturę, zapytał:

— Po co w ogóle został wprowadzony stan wojenny?

Majora Stachonia zatkało z zaskoczenia. Przecież o tym problemie wywodził całą godzinę lekcyjną, czyli 45 minut. Czyżby to był wyjątkowy tępak? Na takiego nie wyglądał. Więc cynicz-

ny, rozwydrzony prowokator. Zgromił smarkacza przeszywającym wzrokiem i powiedział:

— Udać wariata, czy o drogę do Wariatkowa pyta?

Był to jego stary, wypróbowany chwyt. Oczekiwał na zbiorowy śmiech młodzieży. A tu nic. Cisza. Tylko szepty jakieś na tyłach. Pochylone głowy i coś szepczą.

Spociał się major Stachoń, kołnierzyk dusił mu szyję, a wybrnął w ten sposób, że nakazał temu beczelnemu uczniakowi nauczyć się dokładnie przedmiotu z broszury o stanie wojennym, wydanej niedawno i dostępnej do nabycia w kioskach „Ruchu”.

— Trzy dni czasu macie na lekturę — zakończył major Stachoń tę nieprzyjemną przeprawę. Pozbierał notatki i zszedł z mównicy.

Nie był z siebie zadowolony. Przecież swoista porażka. Zbyt łagodnie potraktował uczniaka. Przyszłość jego autorytetu jest tu nie bez znaczenia. Stropił się tym pytaniem. To mogło być zauważone. Uczniak wpatrywał się w niego spokojnymi, skupionymi oczyma. Doskonale go zapamiętał. Wnet się dowiedział od woźnego jego nazwiska. Ze szkolnym woźnym zawarł dosyć ścisłą komitywę. Były żołnierz, fioletowy nos, ale czuł mores przed szarżą i szczegółowo informował majora Stachonia o interesujących go problemach. Zapisał w notesie nazwisko ucznia i zapytał z nadzieją:

— Może rodzice jego w czymś zaangażowani? Czyli obcy element...

— Skąd! — zaprzeczył żywo woźny. — Matkę tylko ma, zatrudniona jako robotnica w Elanobawelnie i także...

— Nieważne! — uciął major Stachoń. Nie chciał wdawać się wzbętną poufałość z woźnym. Traktował go jak oficer szeregowca. Woźnemu to odpowiadało i przeżył się w postawie zasadniczej przy każdym meldunku.

Powtórzył sobie major Stachoń nazwisko ucznia i już na zawsze zapamiętał. Taką miał pamięć wyćwiczoną na opisie części pistoletu maszynowego, czy regulaminu służby zasadniczej. Jak coś w nią wbił, to nie da rady wybić tego żadnym sposobem.

— Ciężki obowiązek — tak zwierzył się przy flaszcze Baltic Vodka swemu przyjacielowi, oficerowi służby czynnej.

Ten spojrzał na niego z politowaniem.

— Coś ty, Felek! Rozkleiłeś się?

Przyjaciół, który pracował w Głównym Zarządzie Politycznym, zmobilizował majora Stachonia. Zdusił niemęską rozterkę. Poczł się sobą i w trakcie dalszej rozmowy z przyjacielem

zrozumiał, że praca, która mu została powierzona, wcale nie jest błaha, czy peryferyjna, wręcz przeciwnie, bardzo odpowiedzialna.

— Młodzieź, rozumiesz? — mówił dalej przyjaciel. — Przyszłość narodu przecież...

Przeświadczenie o wadze zadania rozproszyło ostatecznie rozterki pierwszych dni i choć peszyły go nieco dwie młode, eleganckie nauczycielki oraz różne szepty i chichoty na pauzach, które bez wahania traktował jako żarty ze swojej osoby, postanowił zabrać się zdecydowanie za sprawę tego apelu. Zwolnienia internowanej domaga się smarkateria! Najwyższa władza zdecydowała o tym, a oni mają czelność podważać słuszność tej decyzji! Niezła wichrzycielka musiała być z tej nauczycielki, jak jej tam, Joanny Winnickiej.

— Najwyższa władza! — powiedział półgłosem i naprawdę był wzburzony.

Z generałem armii zetknął się raz osobiście. Podczas zimowych manewrów przed laty. Wizytował jego pułk. Stali przed oddziałami. On przechodził wzdłuż czoła. Twardy człowiek. Wyplenił pijaństwo wśród oficerów na przykład.

Tak pomyślał i z wzorcem osobowym w duszy znalazł się w pokoju nauczycielskim, gdzie w krótkich, żołnierskich słowach przemówił do grona zebranych tam pedagogów. Nacisk położył na poważną słabość pracy polityczno-uświadamiającej i zbędne, wręcz szkodliwe bratanie się pedagogów z młodzieżą.

— Oto są rezultaty! — zawiesił głos i starał się nie patrzeć tam, gdzie pod popiersiem wieszczą siedziały dwie młode, ładne nauczycielki.

Nie bez znaczenia jest fakt, że był wdowcem. Patrzył uporczywie na ścianę z godłem państwowym. Ale i tak te piczki powabne widział doskonale. Zebrał znów myśl w ciasny, męski węzeł i zakończył:

— Musimy wykryć prowodyrów i ukreślić łeb całej prowokacji! — sprężystym krokiem opuścił pokój nauczycielski. Zastanowił się, jakie sprawił wrażenie na dwóch nauczycielkach.

Następnie zapraszał do gabinetu dyrektora wychowawców poszczególnych klas i przeprowadzał z nimi indywidualne rozmowy.

Jedna z tych dwóch ładnych okazała się wychowawczynią i ona to oświadczyła dobitnie:

— Młodzieź ma absolutną rację. To świadczy o jej wysokim morale, poczuciu prawdy i potrzebie sprawiedliwości! Przecież

pani Winnicka jest świetnym pedagogiem, najlepszą polonistką, jaką to liceum miało od lat!

Oślupiał po takim dictum major Stachoń. Patrzył na nią niby cap i nic! Ładna twarz, wysoka pierś, długa noga. W jego guście niewiasta i wypowiedziała się tak paskudnie.

Wiele chwastów jest w tej szkole i niektóre perfidnie postać kuszących kwiatów przybierają. Właściwie z nikim nie doszedł do porozumienia. Każdy z wychowawców wykręcał się wyraźnie. Nieznane pozostały nazwiska inicjatorów akcji.

W sukurs pośpieszył woźny. Przyłapał majora w toalecie i wyszeptał:

— Najwięcej przy tym apelu krzątał się Korczyk...

To ten sam! Bezczelny uczeń, który ma zgłosić się niebawem u niego. Zostanie przepytany z broszury o stanie wojennym.

Major Stachoń przygotował się do tej rozmowy w szczegółach. Postanowił go zaskoczyć i po lekcjach, niby przypadkiem, dopadł wyżej wymienionego ucznia. Zaprowadził go do gabinetu dyrektora. Dyrektor, trzeba to przyznać, zachowywał się najlepiej z całego zespołu nauczycielskiego. Szczerze starał mu się pomagać.

Major Stachoń wprowadził ucznia do gabinetu. Zasiadł za biurkiem. Pograżył się intensywnie w studiowaniu jakichś papierów. A tamten stał i stał. Czuł jego obecność major Stachoń. Z satysfakcją notował rozmaite odgłosy. Uczeń przestępował z nogi na nogę. Skrzypiała podłoga. Oddychał nierówno. Czyżby nerwy już go brały?

— No tak... — major Stachoń podniósł głowę. Był jak kocur, co ma już swoją mysz w łapach, ale jeszcze, jeszcze pozwala jej mieć złudną nadzieję. — Nauczył się kolega zadanego materiału?

Uczeń Korczyk w milczeniu pokiwał głową.

Hardy. Ostry nos, blada cera, trójkątne oblicze i te włosy długie jak u baby. Patrzył przy tym prosto w oczy.

— To bardzo dobrze — powiedział major Stachoń. — Ale rzecz tę zostawimy na inną okazję... — Zaświecił mu przed oczyma apelem, który przygotował sobie zawczasu. — A to co? — rzucił ostrym głosem.

— Nasz apel — odparł bez wahania uczeń Korczyk.

— I ten apel sam się napisał, tak? — zadał to z pozoru niewinne pytanie.

— Skąd! — zaprzeczył uczeń Korczyk. — Ja i kilku jeszcze kolegów zajęliśmy się redakcją tego tekstu, który wyraża stanowisko całej młodzieży naszego Liceum.

Major Stachoń nie przewidywał tak łatwego zakończenia pierwszego etapu śledztwa. Więc ma już w saku jednego prowadzącego.

— Przyznajesz się, młodzieńcze? — zapytał z ojcowską życzliwością.

Uczeń Korczyk znów w milczeniu pokiwał głową.

— Mogę to wasze oświadczenie zanotować, prawda? Podpiszecie? — przycisnął długopis i przygotował kilka arkuszy papieru. Z pedanterią napisał u góry pierwszego: „Oświadczenie”. I popatrzył przenikliwie na chłopaka. Czyżby tak łatwo, w kilkanaście minut zakończy rzecz całą? Z początku za bardziej szczerzącego gracza uważał przeciwnika.

Zastanowił się. Dalszy ciąg pytań musi być prosty, z pozoru niewinny. Zarysowały mu się trzy etapy śledztwa. Po pierwsze: ci, co ten apel opracowali. Jeden już jest. Ale inni jeszcze. Po drugie: ci, co zbierali podpisy. Po trzecie: może też być ktoś, kto podsunął im cały ten pomysł. Inspirator działający z ukrycia. Przez sekundę o tej młodej, ładnej wychowawczyni pomyślał. Przydusić trzeba szczeniaka i jak po nitce do kłębka.

— Więc, drogi kolego... — przystąpił do akcji, uśmiechnął się dobrodusznie. — A kto był jeszcze z wami? Znaczący współpracownicy...

— Ja biorę wszystko na siebie! — przerwał mu gwałtownie uczeń Korczyk. — I żadnego innego nazwiska poza moim pan się nie dowie! — głos mu się załamał kogucio z powodu mutacji.

Odważny. Tak w pierwszym momencie z sympatią pomyślał o nim major Stachoń. Przystąpił do dalszego przesłuchania tego niebezpiecznego wicherzyciela. Skupił się i już nie widział przed sobą kilkunastoletniego ucznia liceum im. Marii Konopnickiej o mizernej, bladej twarzy, obsypanej młodzieńczym trądzikiem. To był wróg!

K P N

Nie! Te rekompensaty wcale mnie nie uratują. Kiełbasa zwyczajna — 190 za kilogram. Słonina — 100 złotych. Łopatka z kością — 250! Ser chudy kosztował 12 złotych. Teraz 54. To jest dokładnie podwyżka o 450 procent. A węgiel ile? Piec mam i trzeba do niego pakować a pakować...

Szedłem z roboty i tak o tym myślałem. Gdyby teraz jakiś

senator amerykański pojawił się na ulicy, to bym powiedział o tych cenach i rekompensatach. Niech wiedzą!

Pod dworcem spotkałem Kaźka. Po staremu u niego. Torbę jakąś niósł.

— Zakupy — powiada.

Patrzę. Całkiem przyjemna z wyglądu kaszanka. Margaryna Palma i dwie puszki szprotek. Gdzie on to zdobył?

— Mam swoje chody — zadowolony jak nie wiem co.

Zapaliliśmy. Postaliśmy na rogu. Poszliśmy dalej.

Spojrzałem na swój but i cholera mnie wzięła. Zupełnie odeszła podeszwa. Dobrze, że dziś mróz, a nie odwilż. Podbiłem ją gwoździkami i drutem wzmocniłem. Tydzień trzymało. Na mój rozmiar stopy nie ma butów. Mam numer większy od kajaka. A zresztą, nawet gdybym miał mniejszy, to butów i tak nie ma. Parę dni temu stałem w ogonku i jak doszedłem do stoiska, to były już tylko buty dla liliputów. Gdybym wtedy spokojnie pomyślał! Kupić mały numer i wymienić się z kimś. Ludzie biorą, co popadnie i wymieniają się potem. Kazięk obciął mnie swoim cwany okiem raz, drugi. Zauważył, że jestem bez humoru.

— Może teges? — zaproponował.

Wybuchnąłem:

— Kartkę na gorzałę dawno już wykupiłem!

— Można na mecie — mówi i dalej uśmiecha się po swojemu.

Wiem, ile na metach biorą. Ale on kusi.

— Mam taką babę, co 1000 za flaszkę liczy.

— 1000 — odpowiadam — to jest kawał grosza. — I do cennika nowego w pamięci przymierzam.

— Najtańsza baba w mieście — tłumaczy Kazięk. — Wiesz, ile na Bimberstrasse biorą?

— Bimberstrasse... — zdziwiłem się. — Gdzie to jest?

— Tak teraz Brzeska się nazywa. Oni 1500 liczą, a w nocy jeszcze wyżej.

— Nie każdy może sobie na to pozwolić — opór jeszcze stawiam.

— Ja pięćset, ty pięćset — powiedział Kazięk — i odżyjemy!

— Jest rencistą z powodu zdrowia i dorabia sobie prywatnie.

— No? — patrzy na mnie i czeka.

Machnąłem ręką. I tak z tej podwyżki nie wylizę. Najlepiej zalać robaka.

Poszliśmy. Taka brama. Stare budownictwo. Jedno podwó-

rze, drugie podwórze. Kazał zaczekać. Dałem mu swoją działkę i trochę się zaniepokoiłem.

— Nie bój się! Tu nie ma żadnego zapasowego wyjścia.

Wypaliłem papierosa. Wrócił.

— Jeszcze kwadrans musimy poczekać.

— Dlaczego?

— Przecież baba, co interes prowadzi, nie trzyma u siebie towaru. W razie rewizji, rozumiesz...

No jasne! Minął kwadrans. Znow poszedł. Zaraz wrócił z flaszką. Baltic Vodka.

— Możemy na stojaka pod palec i papierosem zakąsić albo...

— zastanowił się. — Mam takie przyjemne miejsce.

Poszliśmy. Zaprowadził do Pałacu Ślubów.

— Co ty, Kaziu!

Popchnął mnie w drzwi i weszliśmy.

Marmury, żyrandole. W szatni ludzie swoje kożuchy oddają. Wszyscy z kwiatami. Akurat trzy śluby czekały w kolejce. Panny młode w białych sukienkach. Pełna gala. Jak na filmie. Po co mnie tutaj przyprowadził?

— Mam tu znajomego — powiedział Kaziu.

Nachylił się nad ladą w szatni i zagadał do takiego kurdupla o sinej twarzy, starego chłopca. Tamten pokiwał głową i wpuścił nas do tych kożuchów i futer. Ciężkie pieniądze tu były zgromadzone. Milion, a może i więcej. Zaprowadził nas na zaplecze. Miał taką pakamerę. Trzy osoby lekko mieściły się tutaj. Zaraz szłankę przyniósł i swoje kanapki z kiełbasą. Kaziu nalał mu pół szklanki za gościnność. Należało mu się. Wypił duszkiem, obtarł usta i poleciał do lady kożuchy i futra odbierać.

A my z Kaziem zaczęliśmy urzędować. Szłankę do jednej czwartej sobie napełnialiśmy i potem kawałek chleba z kiełbasą. Dobrą miał ten szatniarz kiełbasę.

— To cham — powiedział Kaziu. — Od siebie z wiochy przywozi.

Zawsze miał niechętny stosunek do wiochy. Jeszcze od czasów, kiedy na dworcu PKS naciągał wiejskich frajerów na forszę. Ciekaw byłem, skąd zna tego szatniarza. Ale on żartem mnie zbył:

— Trzy śluby brałem, to i poznaliśmy się nieźle.

Obrotny ten Kaziu. Może mięso z wiochy u niego zamawia?

Szatniarz nie przyszedł już do nas. Zajęty. Zarobi nieźle. Przy takiej okazji ludzie więcej płacą.

Ciekaw też byłem, jak Kaziu da sobie radę z budżetem rodzinnym. Ma dwójkę dzieciaków w tym drugim małżeństwie

jeszcze nieodchowanych. Bo ja tylko alimenty płacę, i to na jedno. Rozwodnikowi zawsze łżej. Tylko z wyżywieniem gorzej. Baba to nawet z niczego ugotować coś potrafi. Ale Kaziak wcale się nie przejmował.

— W okupację handlowałem pod Dworcem Głównym — powiedział. — Pamiętasz, gdzie był stary dworzec?

Co miałem nie pamiętać. Sam tam za pucybuta byłem.

Jeszcze na jedno rozlanie zostało w butelce. Wtedy przyszedł szatniarz.

— Kończcie już chłopaki — poprosił — zaraz przyjdzie mój zmiennik.

— Trzeba kończyć — rzekł Kaziak.

Wypiłem ze szklanki, a on swoją działkę z butelki. Podziękowaliśmy szatniarzowi i opuściliśmy Pałac Ślubów.

Było już ciemno. Mróz trzymał cały czas. Czułem to po uszach. Jeszcze chwilę postaliśmy.

— A wiesz... — powiedział Kaziak — KPN pojawił się znów!

— Co ty gadasz? KPN to przecież taka organizacja... Konferencja... Nie! Konfederacja Polskiej Niepodległej!

— Skąd! — roześmiał się Kaziak. — KPN, czyli koniak pędzony nocą, rozumiesz?

— Gdzie pędzą?

— Wszędzie. Szlauch i dwie bańki. To cała aparatura. Tylko drożdże trudno zdobyć... Następnym razem zapraszam do siebie. Na koniak! No to cześć! — I pobiegł do swojego tramwaju.

Znam go tyle lat. Zawsze taki sam. Humoru nie traci. Takie ma usposobienie. Dobrze takiemu.

Podszedłem do przystanku autobusowego. Pojechałem pośpiesznym. Nawet nie długo czekałem i już był. Od pętli pośpiesznego mam kawałek drogi. Pustkowiec. Tam napadają. Młodzi w watahy się zbierają po trzech, czterech i o papierosa proszą. Wyciągasz papierosy, a oni od razu w łeb biją, zegarki zrywają, robią rewizję. Sąsiada w taki sposób napadli. Akurat podjął z książeczki pieniądze.

W szybkim tempie ten odcinek drogi przebyłem.

Palić w piecu już mi się nie chciało. W ubraniu położyłem się na tapczan. Chciałem zapalić papierosa, ale zasnąłem. Zbudził mnie ziąb. Przemarzłem paskudnie. Zerwałem się i włączyłem słoneczko. Pić mi się chciało. Nie dużo tej wódki było, ale suszy. Napiłem się wody z bańki. Na wierzchu był lód. Długo spałem. Już po godzinie policyjnej. Podszedłem do okna. Straż

pożarna oświetlona. Dwóch strażaków na warcie nocnej. W hełmach, z toporkami. Biegają po placu. Zimno im. Słabo ubrani. Nogami tupią. Rękami się po plecach walą. Jeden jakby znajomy. Kwiatek niejaki. Ale z tej odległości przy słabym świetle nie byłem pewien. Straż jak wojsko. Militarna służba. Głucha, zimna noc. Pęcherz zaczął mnie cisnąć. Na podwórze nie chciałem wychodzić. Policyjny czas i mogą dopaść. Przed samym oknem to suche, stare drzewo. W tamtą zimę na gałęzi tego drzewa wielki, czarny ptak zadziobał mniejszego. KPN! W taką noc tylko pędzić!

Odlałem się do wiadra.

REWIZJA

Dziś bardzo rewidowali. Szczególnie młodych. A już jak któryś niósł torbę, czy plecak, to od razu został zatrzymany. Najgorszy był posterunek za kościołem Św. Ducha. Mieszany. Milicjanci i żołnierze. Nikogo nie przepuścili. Oczy mieli bystre i wyczucie jakieś diabelskie. Szedł chłop z workiem. Popatrzyli i puścili swobodnie. Nawet się za nim nie obejrzel. Nie było w nich żadnej rozterki. Za chwilę pokazał się młody człowiek z dzieckiem. Córeczkę prowadził na spacer. Przez ramię miał przewieszony chlebak. Niepozorny, zielony chlebak. Już ich mijał.

— Chwileczkę! — powiedział milicjant z wąsikiem, cyganowaty z wyglądu, dwie belki nosił na pagonach.

Tak niedbale, kocio zbliżył się do młodego tatusia. Maszynową broń przewieszoną miał przez szyję. Prawą dłoń trzymał na rączce. Myśliwy. Zaczął grzebać w tym chlebaku. Zręcznie i sprawnie. Papiery jakieś wyciągnął. Zwitek bibułkowatych maszynopisów sprytnie wsunięty do foliowego opakowania z włoszczyzną. Oczy mu się zaświeciły i zaprowadził młodego tatusia pod arkady. Tam urzędował dowódca posterunku. Został zatrzymanego i zaraz stamtąd wyskoczył, gotowy do polowania na kolejną zwierzynę. Najwięcej miał trafić. W ciągu kilkunastu minut zatrzymał dziewczynę i starego o lasce. Znalazł coś u nich. Stary bardzo był przebiegły. Niósł wypchaną teczkę, a w niej nic. Jednak kapral był cwańszy od niego. Zaczął mu rewidować kieszenie. I znalazł. Ulotkę. Ucieszył się.

Żołnierze mniej się starali. Ale też musieli. Czasem kapral

z wąsikiem odpoczywał sobie i patrzył na nich czarnymi, bystry-
mi ślepiami. Wszystko widział. Musieli ludzi zatrzymywać.

Podział pracy był taki: wojsko polowało po lewej stronie
jezdni, milicjanci zaś trzymali się prawej strony.

Właśnie wypalił kapral papierosa i zajął się trzema student-
kami. Słży sobie trzymając się pod rękę, roześmiane, jakby nic.
Ale mu podpadły. Zatrzymał i pogrążył się w bebeszeniu ich
torebek.

Wtedy prawie równocześnie jeden z żołnierzy też zatrzymał
dziewczynę. Szła sama. W bardzo grubych okularach. Słabo
musiała widzieć. Szła prosto na niego i młody żołnierz zagroził
jej drogę. Nie był biegły w rewidowaniu. Zmarzniętymi pal-
cami grzebał w jej białej torbie z napisem Coca-Cola. Wypadła
na ziemię kosmetyczka. Podniósł szybko.

— Przepraszam — wymamrotał.

Nieśmiały żołnierz.

Wyciągnął z samego dna torby broszurę w zielonych okład-
kach. Wyraźnie lewa rzecz. Takie broszury wydawali w wolnych
wydawnictwach przed wojną. Może i teraz wydają. Wyłuskał
z torby tę lewą rzecz i rozejrzał się jak złodziej.

Cygan, znaczy kapral MO ciągle jeszcze był zajęty tamtą
żeńską trójką. Inni też. Całą grupą otoczyli wysokiego w czar-
nym, wielkim kapeluszu. Niósł wielką walizę. I oni do tej
walizy.

Młody żołnierz jeszcze raz rzucił dokoła płochliwe spojrzenie
i z powrotem wpuścił tę zieloną broszurę do torby.

— Dziękuję — powiedział. — Może pani iść.

Dziewczyna stała dalej. Wyraźnie oszołomiona. Czerwona
jak burak. I naraz ruszyła szybkim krokiem. Bardzo niedoświad-
czona. Ale nikt niczego nie zauważył.

H E L P

Pod magazyn podjechały dwa TIR-y. Pomoc nam z zagranicy
przysłali. TIR-y na holenderskich numerach. Otworzyli masyw-
ne drzwi z tyłu, a tam we wnętrzu stopy kartonów. Ułożone
ciasnymi rzędami. Duże i mniejsze. Żółte kartony zapakowane
szczelnie i oklejone plastrami. Znak Czerwonego Krzyża był na
każdym.

Z magazynu wyszli ludzie w waciakach. Za nimi magazynier
w niebieskim fartuchu. Magazynier umiał mówić w obcym języ-

ku. Poszwargotał z szoferami. Papiery mu jakieś podsunęli. Pobieżnie przejrzał i podpisał. Miał w kieszeni pieczętkę. Chuchnął i podbił. Dał znak swoim ludziom. Zaczęli wybierać kartony. Brali po sześć mniejszych, a trzy większe na raz. Potem wózek wytoczyli z podwórza. Na ten wózek ładowali kilkadziesiąt kartonów. Jeden ciągnął za dyszel, drugi pchał.

Naprzeciw magazynu samotna kamienica w szczerym polu stoi. Mieszkańcy kamienicy patrzyli z okien. Wylegli też na ulicę. Zastanawiali się nad zawartością kartonów. Raczej ciężkie, nabite. Pewnie żywność. W puszkach. Tam, na Zachodzie, żywność w puszki pakują.

Cudzoziemscy szoferzy siedzieli w swoich kabinach. Patrzyli z wysoka. Dobrze ubrani, wypasieni. Jeden palił fajkę. Muzyką stereo uprzyjemniali sobie oczekiwanie.

Dochodziła ta muzyka do ludzi zebranych przed kamienicą.

— Help — jeden z widzów ze smakiem powtarzał. — Po angielsku znaczy to: pomagać.

Pracownicy magazynu uwijali się szybko i sprawnie. Nie odpoczywali wcale. W godzinę wyładowali. Magazynier ponownie podpisał papiery. Uczynił szeroki, gościnny gest. Chyba cudzoziemców zapraszał. Ale oni na zegarki pokazali i pokręcili głowami. Spieszyło się im. Zaraz odjechali. Te TIR-y jak smoki, mają zryw. Silnik typu Mercedes.

Ludzie nadal stali. Mróz dziś tak bardzo nie szczypał. Zaczynała się odwilż. W magazynie zapanował spokój. Poszarżało i w jednym oknie na pierwszym piętrze zapaliło się światło.

— Rozdzielnik robią — ktoś zauważył.

— Sami się obdzielają — ktoś dodał.

Po szesnastej zaczęli wychodzić z magazynu pracownicy. Ludzie przyglądali się im bacznie. Kobiety niosły swoje torby. Mężczyźni z teczkami. Jak zawsze. Kto to wie? Wynoszą coś czy nie.

Pomału rozchodzili się ludzie. Pozostała niewielka grupka. Najwytrwalsi. I w oknach kamienicy twarze gdzieniegdzie. Ci mieli najlepiej. Siedzieli w ciepłych mieszkaniach i patrzyli.

W oknie na pierwszym piętrze magazynu ciągle paliło się światło. W portierni przy bramie siedział strażnik. Karabin trzymał między nogami i drzemał.

Po pewnym czasie pod magazyn podjechało auto. Dwaj wysiedli. Przeszli przez portiernię. Strażnik przed nimi na baczność. Skierowali się do budynku. Zaraz za tym autem wytoczyła się zza rogu ciężarówka. Pod samą portiernię tyłem zajechała.

Ludzi zebrało się już więcej. Powychodzili z kamienicy. Przystawali nieliczni przechodnie. Zebrało się około trzydziestu osób.

Zbliżył się do nich patrol milicyjny.

— Rozejść się! — powiedział dowódca patrolu.

Niechętnie cofnęli się do bramy. Z bramy wyglądali na ulicę.

Dwaj wyszli przez portiernię i wsiedli do auta. Za nimi magazynier. Krzyknął. Z budy ciężarowego wozu, okrytej plan-deką wyskoczyli trzej mężczyźni. Pobiegli do magazynu. Wnet wynurzyli się stamtąd. Obładowani kartonami. Wrzucali do ciężarówki. Pracowali w pośpiechu. Wcale nie układali. Obrócili kilkanaście razy i załadowali całą ciężarówkę. Auto ruszyło pierwsze. Ciężarówka za nim.

W oknie na pierwszym piętrze magazynu zgasło światło. Ludzie zaczęli się rozchodzić.

S Ł O N E C Z K O

Dostałem robotę jako kontroler w „Ruchu”. To ma związek z reformą gospodarczą. Tak myślę. Chodzę po kioskach. Rewir mój obejmuje dwadzieścia osiem kiosków. Sprawdzam, czy sprzedawcy nie przekraczają limitu wykorzystywania energii elektrycznej. Wszyscy teraz przekraczają. Mrozy. Dzisiejszej nocy do — 15 stopni opadł słupek rtęci. Z tego powodu miałem udany obchód. Wszyscy podgrzewali się znacznie więcej niż pozwala limit. Lubię swoją robotę. Jestem niezależny i nikt mnie nie pogania. Nikt też nie da rady mnie sprawdzić. Idę sobie powolutku. Kiosk mam w polu widzenia. Od tyłu zachodzę albo udaję głupiego i pojawiam się od strony okienka. Głowę do szybki przysuwam i widzę całość. Urzędująca tam osoba z dwóch stron słoneczkami się podgrzewa i jeszcze od tyłu ciepło w postaci maszynki czy grzejnika żeberkowego sobie puszcza. Tak bywa. Wtedy glejt urzędowy wyciągam.

— Kontrol — mówię.

Kobieta wystraszona jak nie wiem co. Przeważnie kobiety w kioskach pracują. Ręce jej się trzęsą. Mam obowiązek sporządzić protokół, wyszczególnić niedozwolone prawem źródła energii cieplnej i tak dalej. Druczki stosowne posiadam. Tylko wypełnić. Uderza to kioskarkę po kieszeni. Od czystego zysku agencyjnego jej potracają. Zaczyna się bajer. Prosi. Płacz.

Obiecuje. Ja mówię mało. Czasem słówko wtrącam. I tak to się toczy. Ona mnie wyczuwa i ja ją wyczuwam.

Stare baby najmocniej się podgrzewają. Wystygła krew. Tak to można nazwać. Choć i młode niektóre nieźle sobie hajcują. U jednej to było jak w łaźni parowej. Tak się podgrzewała. Ze cztery razy przekroczyła swoje uprawnienia do ciepła. Znów pewien gość, byk taki, robić mu się nie chce, podpadł dwa razy. I to dzień po dniu.

Dziś miałem żniwo. Jedną taką nakryłem. Nieprzyjemna, udaje grand damę i zawsze z góry mnie traktowała. Aż stało się i ja byłem górą. Zrobiła się taka malutka. Nie popuściłem babie. Spisałem i zapłaci.

A przy placu Defilad to w każdym kiosku limit był przekroczony. Tam wiatry wieją. Lodowate wiatry. Goła przestrzeń i te wioskach siedzą jak na wygwizdowie. Od jednej dostałem parę paczek Extra Mocnych z filtrem. Teraz w jawnej sprzedaży wcale nie ma Extra Mocnych. Najbardziej lubię ten gatunek papierosów. Inne mnie duszą i kaszlę. Dołożyła jeszcze żyletki.

Tam, pod samym dworcem, znajduje się najlepiej zaopatrzony kiosk. Jak ona to robi? Na pewno z dostawcami trzyma sztamę. Kosmetyki mi sprezentowała. Pastę do zębów, mydełko. Nawet proszek do prania. Żona się ucieszy.

Tak szedłem i kosiłem. Dopiero połowa dziennego obchodu, a cała torba pełna. Ludzie mi na rękę, to i ja im. Co będę spisywał!

Zrobiłem mały postój. Wstąpiłem do Feniksa. Tam bywa piwo.

— Nie ma — mówi ciężarna ekspedientka.

— A może chce pani proszek do prania? — ja jej na to powiadam. — Niedługo dzidzius się urodzi i trzeba gromadzić.

Od razu do tego proszku oczy jej się zaświeciły. Dobry proszek. „Fala”. Nie ten „Popularny”, co bieliznę wypala.

Dwie flaszki spod lady mi podała. Pokrzepiłem się i do roboty. Mróz nie popuszczał i ten wiatr lodowaty na dodatek. Dalej żniwo.

A od jednej nic nie wziąłem. Również nie zrobiłem użytku z jej wykroczenia.

— Słoneczko ty moje! — tak zacząłem do niej gadkę.

A ona taka wystraszona! Zerwała się i za sznur. Wyłączyła to elektryczne słoneczko, którym się podgrzewała od dołu. Było śmiechu!

Ładna babeczka. Dwadzieścia kilka lat najwyżej. I taka szykowna.

Umówiłem się na sobotę. Przyjdzie na pewno. Mam ją w garści. Musi przyjść. Pójdziemy sobie na kawę, ciastka, wino i może coś...

SKŁADKA

Jestem skarbniczką koła i choć Związek został zawieszony, uważam, że nadal pełnię tę funkcję. Postanowiłam więc zebrać składki za styczeń i przeznaczyć tę sumę na pożyteczny cel społeczny. Poradziłem się Irenki i ona była tego samego zdania. Oczywiście ani słowa nie powiedziałyśmy o tym Kozłowskiej. Jest naszą przewodniczącą, jednak już pierwszego dnia wojny odpięła znaczek „Solidarności”. Nam radziła uczynić to samo.

— Mogą się czepiać — powtarzała.

Również Grażyna Pakieła, która zakładała tutejsze koło, wydawała się jakaś nieswoja. Co prawda u niej w księgowości panowały okropne stosunki. Tam były dwie baby ze starego związku i one teraz odżyły. Kopały dołki pod Grażyną. Uważały, że nastąpią przesunięcia kadrowe i któraś z nich na miejsce Grażyny zostanie kierowniczką. Najbardziej właśnie niepokoiła Grażynę Pakiełę pogłoska, że mają robić czystkę i wiele osób z biura pójdzie na zieloną trawkę. Tylko o tym mówiła i wszędzie tam, gdzie się znalazła, wprowadzała nastrój podniecenia, hysterii, strachu. Te jej oczy wielkie, wyłupiaste. Ona chyba ma chorobę Basedowa.

Pani Wanda z planowania poparła naszą inicjatywę.

— A pewnie! — powiedziała dziarsko. — Co będziemy całe życie na kolanach! Jak przegrać to na stojąco!

Stara harcerka. Była w Szarych Szeregach. Druhna Wisienka, Sosenka. Jakoś tak. Zawsze to mnie śmieszy. Sto kilo żywej wagi, wąsik i... Wisienka, Sosenka!

I stało się tak, jak postanowiłam. Wszyscy chętnie dawali. Magister Stopczyk rzucił hojną ręką pięćset złotych. Do Kozłowskiej nie poszłyśmy. Narobi wrzasku-lamentu. Ponadto mówiło, że jej mąż to jakaś mętna persona. Grażyna Pakieła zapłaciła składkę. Tylko prosiła, żeby rzecz całą zachować w dyskrecji. Proszę bardzo!

Komisyjnie z Irenką obliczyłyśmy pieniądze i pozostała ostatnia sprawa: przeznaczenie tej kwoty? Stasio z magazynu radził,

żeby poszukać kontaktu z tymi, którzy się ukrywają i wydają bibułę. Głupi pomysł. Nim dotrzemy gdzieś, to już bezpieka weźmie nas w obroty. Dał się Stasio przekonać i przestał nalegać.

Pijemy herbatę z Irenką, a tu nagle wpada Kozłowska.

— Czyście oszalały, dziewczyny?! — woła od drzwi. Aż sponsowiła i dyszy. — Te pieniądze — mówi — trzeba oddać ludziom z powrotem. Natychmiast oddać! Dojdzie do dyrektora, a nie daj Boże do Wołczuka... — wymachuje rękoma. Pazury to ona sobie maluje jak kokota. Na zielono.

— O czym pani mówi, droga Ziutko? — Irenka do niej spokojnie.

— Jak to?! — zatkało Kozłowską. — Składki zbieracie. A „Solidarność” jest przecież zawieszona! To przeciw przepisom prawa wojennego. Oni się nie patyczkują...

— Pani Ziutko... — ja się wtrąciłam — po co ta cała panika. Ludzie dobrowolnie złożyli się na cel społeczny. Zbiórka jak na Czerwony Krzyż, Centrum Zdrowia Dziecka, coś w tym rodzaju.

Oczy wytrzeszczyła i nic nie rozumie.

Powoli zaczęłyśmy ją przekonywać. Chyba godzinę to trwało. Irenka ma cudowny dar przekonywania takich osób. Mówi jak do dziecka. Uspokoiła się Kozłowska.

— Tylko ja nic o tym nie wiem — powiedziała na koniec.

I we dwie z Irenką poszłyśmy do kościoła św. Marcina. Zebrane pieniądze włożyłam do puszek z przeznaczeniem na pomoc dla internowanych.

SREBRZYSTY PTAK

Nie można powiedzieć, żeby był niedorozwinięty. Raczej wyrósł nad wiek. Wysoki, barczysty, klatkę piersiową to ma po prostu atletyczną. Wygląda na znacznie więcej niż na swoje trzynaście lat. Ile zjeść potrafi! Jak chłop od kosi. Trudno nastarczyć. Być może rozwój umysłowy u niego nie nadąża za fizycznym. Bywają takie przypadki. To się z czasem wyrówna. Musi się wyrównać. W każdym bądź razie pisze i czyta dosyć biegle, a nawet interesuje się różnymi zagadnieniami. Chociażby ostatnią wojną. Działania wojenne w 1939 roku. Bitwa nad Bzurą. Ja mu to wpajam. Podsuwam odpowiednie lektury. Ostatnio Alfreda Paczkowskiego „Lekarz nie przyjmuje”. Są to

wspomnienia cichociemnego. Przepytuję go odnośnie wrażeń. No, za bardzo nie ma głowy. Nic nie pamiętał z działalności Wachlarza na Polesiu. Natomiast dokładnie, w szczegółach, o szkoleniu, jakie przechodzili cichociemni w Szkocji. Noże specjalne, kształt, przeznaczenie.

— *Knife* — powtarza. Lubi angielskie słowa.

Albo wyprawa w góry o suchym pysku, wypchali sobie kieszenie pszenicą i tym się żywili.

Tak, pamięć wybiórcza można powiedzieć. Już trzeci rok jedną klasę powtarza. I nieposłuszny. Ale to typowa przywara takich wyrostków, pragną chadzać własnymi drogami. Mówią, że późne dziecko, zbyt późne. Nonsens! Żona urodziła go mając 39 lat. Tak się złożyło. I co z tego? Denerwują mnie takie teorie rodem ze średniowiecza.

Pojechaliśmy na lotnisko. Kuzynka wracała z Anglii. Czarterem. Ona to jest dopiero pomyłona! Wyjechała w październiku na stypendium naukowe i w związku z tą szczególną sytuacją, która zaistniała u nas w kraju, nie mogła tam wytrzymać. Postanowiła wcześniej wrócić. To jest klasyczny przykład demencji umysłowej! Ale nie będę się wdawał w szczegóły.

Pojechałem na lotnisko powitać kuzynkę. Chłopak ze mną. Lotnisko bardzo zmilitaryzowane. Czołgi stały. Zapory na rozstajnych drogach i pełno żołnierzy oraz innych służb. Równocześnie pustka. Żadnego ruchu. Martwe pasy startowe. Sprawiało to dosyć przygnębiające wrażenie. Tylko na horyzoncie skrzydełka radaru obracają się nieustannie i nic więcej.

Chłopak był ciekaw wszystkiego. Początkowo byliśmy w budynku. Chciał dostać się tam, za barierkę, gdzie robią odprawę celną. Z trudnością go powstrzymałem. Tłumaczyłem, że są miejsca dozwolone i niedozwolone. Uspokoił się wreszcie. Zainteresowały go bowiem monitory, na których podają przyloty i odloty. *Arrival* i *Departure*. Sylabizował te angielskie słowa. Ludzie się oglądali. Mówi, owszem, dosyć głośno i bełkotliwie. Ale ja go rozumiem. Zapowiedzieli przez megafony rychły przylot samolotu czarterowego z Londynu.

Wyszliliśmy na zewnątrz. Skierowaliśmy się w stronę pomostu widokowego. Niewiele osób tam się zgromadziło. Może ze dwadzieścia. Wszędzie wojskowe stráže. Na pomoście też. Postanowiliśmy stanąć przy parkanie. Rozległy widok. Wkrótce z chmur wynurzył się samolot. Pięknie wyglądał. Leciał ukośnym lotem. Srebrzysty ptak. Zniżył się nad ziemię i opadł na pas. Międko, zgrabnie wylądował. TU 134. Przyznaję, zapatrzyłem się na ten widok.

I wtedy ten szczeniak wyrwał mi się z rąk. To silny chłop. Aż zatoczyłem się. Cała twarz mu się śmiała. Do samolotu ręce wyciągnął. Coś wykrzykiwał. Też zafascynował go ten porwujący widok. Pęd, wysokość. Tak prosto z chmur. To podziało na dziecko. Jak strzała pognał! Płot! Co to dla niego. Wdrapał się z małą zręcznością. Już był na płycie lotniska. Biegł dalej. Zmartwiałem. Z dwóch stron do niego żołnierze! Z bronią gotową do strzału. Rzucili się jak żbiki. Szczególnie jeden z nich niebezpiecznie wyglądał. Ten swój pistolet tak ujął. Jakby miał zamiar składać się do strzału.

— Stać! Stać! — krzyczeli.

Ale chłopak żadnej nie zwracał na nich uwagi. Rzuciłem się za synem. Jak ten płot przesadziłem? Sam nie wiem. Popędziłem w stronę żołnierzy. Na linię ich wycelowanej broni biegnę i krzyczę:

— Panowie! To jest mój syn! Dwunastoletnie dziecko! Nienormalny!

Musiałem tak powiedzieć. To poskutkowało. Opuścili broń. W twarz szczeniaka wyciąłem i odciągnąłem go jakoś. Pomogli mi żołnierze.

No cóż, potem te nieprzyjemności. Wzięli do wartowni. Podejrzliwy oficer. Spisał z dowodu. Wyjaśnienie. Protokół. Oczyma świdrują. Puścili.

Czy on coś z tego zrozumiał? Wojna, nie wojna, psiakrew, wszystko jedno dla niego!

C I E Ń

Miałem przy sobie ważne papiery. Relacje ze Śląska. Najważniejsza ta z kopalni „Wujek”. Opowieść uczestnika strajku. Przywiózł człowiek stamtąd. Zwinięte w malutki rulonik i schowane w długopisie. Co za czasy! Tylko czytać pamiętniki z okupacji. Wsunąłem bibułę w skarpetę i do samego buta. Chyba pomysłowo. Na wszelki wypadek. Nie jestem spalony. Jednak ostrożność nie zaszkodzi. Zresztą wczoraj dzwonili do mnie i mimo że rozmowa kontrolowana, zbyt jednoznacznie przypomnieli o terminie spotkania.

— Bądź u Jurka. Jak zawsze. Wiesz o której.

Wymamrotałem potwierdzenie i czym prędzej odłożyłem słuchawkę. Po co o tym przypominali. I w takim charakterystycznym stylu, pełnym niedopowiedzeń. Domorośli konspiratorzy!

Wskoczyłem do autobusu pośpiesznego. Dopiero przy placu miał przystanek. Tam wysiadłem. Postanowiłem przejść się i pod kinem złapać autobus lub tramwaj i dojechać na miejsce. Rozejrzałem się. Przede wszystkim za siebie. Parę osób podążało w tym samym kierunku. Wieczór deszczowy. Puściło nagle. Ślizgawica na chodniku. Szedłem bardzo powoli pozorując spacer. Spacer? Niefortunny pomysł. W taką pogodę? Przyspieszyłem kroku. Iść trudno. Pośliznąłem się. Z trudem utrzymałem równowagę. Nogi się rozjeżdżają. Podąża za mną już tylko jedna osoba. Kobieta? Mężczyzna? W ciemności nic nie widziałem. Przekleństwo. Męski głos. Pewnie pośliznął się. Doszedłem do kina. Kino nieczynne. „Tylko świny siedzą w kinie” — podczas okupacji taki popularny dwuwiersz. Stałem pod daszkiem przystanku. Kilka osób. Para staruszków. Podlotki. Neutralne osoby. Doszło małżeństwo z dzieckiem. Deszcz coraz gęściej uderzał w szklany dach. Ktoś stanął na uboczu. Nie pod dachem. Mimo deszczu. Mężczyzna w okularach. Błyszczały w świetle latarni. Nic więcej nie widziałem. Z podniesionym kołnierzem. Dreptał niecierpliwie. Kilka kroków w jedną stronę, kilka w drugą. Czy to ten, który szedł za mną? Nie sposób odpowiedzieć na to pytanie. Nadjechał autobus. Zapchany. Przeczekałem i wskoczyłem na stopień przed samym odjazdem. Tylnym wejściem. Tamten przednim. Też w ostatniej chwili. Zastanawiające. Tłok. Nawet poruszyć się nie sposób. Papiery czułem pod kostką, niżej cholewki buta. W razie czego, komu przyjdzie na myśl tam sprawdzać? Przeważnie przeszukują kieszenie. Przejechałem cztery przystanki. Do tego nowego osiedla za trasą. Właściwie powinienem na piątym. Ale wcześniej wysiadłem. Z trudem wypchałem się z autobusu. Obejrzałem się. Ktoś szedł za mną. Przystanąłem. Też przystanął. Zobaczmy, kto kogo przetrzyma. Stałem cierpliwie. Był już bardzo blisko. Baletowym posuwem do przodu, to znów do tyłu. Buty miał niedobre, na wysokich obcasach i ślizgał się jak tancerz na lodzie. Przystanął. Błysnęły okulary. Ten sam? Zaczął coś sobie poprawiać przy bucie. Musiałem zrezygnować. Znów był za mną. Wytrawny drań! Minałem te trzy wieżowce, stojące jeden za drugim, ukośnie do drogi. Za nimi zaczynały się ogródki działkowe. Ciemno. Wszystkie latarnie wygaszone. Przystanąłem przy pierwszej działce. Była ogrodzona siatką. Na szczęście otwarta furtka. Wsunąłem się do ogródka i przywarowałem za altanką. Kroki. Łoskot. Pośliznął się. Może upadł. Znów kroki. Zacichło wszystko. Wyjrzałem z furtki. Ulica pusta. Na wszelki wypadek poszedłem ulicą równoległą. Wróce

do właściwej przed parkingiem. Już osiedle. Przed parkingiem skręciłem. Czwarty blok to cel mojej wyprawy. I kroki. Zabrzmiały z nagłą. Przeczekałem przy budce telefonicznej. Ustały. Co za лихо! Może ktoś ze śmieciami wyszedł? Z psem? Popadłem w idiotyczny stan przewrażliwienia. Nawet mój własny cień na ścianie chwilami wydawał mi się nie moim cieniem. Czwarty blok. Pierwsza klatka schodowa. Paroma skokami na pierwsze piętro. Zadzwoiłem. Wtedy kroki z dołu też szybkie. Co robić? Popędzić wyżej? Zawrócić? Za późno. Drzwi otworzyły się szeroko. Właściciel mieszkania.

— Punktualnie — uśmiecha się. — Doskonale.

Ja palec do ust. Ostrzegam go.

Tamten z dołu już był za mną. Chyba ten sam. W okularach.

— Bardzo dobrze — mówi właściciel mieszkania — obaj punktualni. Poznajcie się, panowie...

Zgłupiałem. Tamten też.

— A ja myślałem... — zdołałem powiedzieć.

— Ja to samo! — tamten na to.

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

WERYFIKACJA

Pierwszy został zaproszony redaktor Tymoteusz Bryk. Felietony opatruje pseudonimem Smog. Niskiego wzrostu. Krzepki korpus na krzywych, kawaleryjskich nogach. Żołnierz 2-go Korpusu. Walczył pod Monte Cassino. Posiada kilka odznaczeń, w tym jedno angielskie. Píše artykuły historyczne z czasu Drugiej Wojny Światowej. Częste interwencje cenzury. Charakter impulsywny, uparty. Lubi wypić. Twarz czerwona, włosy siwe. Nosi niezmiennie *battle-dress*.

Dziś był najwyraźniej pijany. Zataczał się. I tak zataczając się dotarł na środek gabinetu. Tam stało krzesło przygotowane dla weryfikowanego. Tymoteusz Bryk z krzesła nie skorzystał. Odsunął krzesło nogą. Jego niebieskie, nieco szkliste oczy zaiskrzyły się i powiódł spojrzeniem po komisji, która siedziała za długim stołem pokrytym zielonym suknem.

Siedzieli od lewej do prawej: przedstawiciele resortu, czyli MSW, Ludowego Wojska Polskiego, Komitetu Wojewódzkiego PZPR i RSW „Prasa”, a na końcu stołu jeden osobnik bliżej nieokreślony.

Redaktor Tymoteusz Bryk popatrzył na nich iskrzącymi się oczkami i uśmiechnął się szeroko. Jego okrągła twarz przypominała dorodne jabłko. Zamaszystym krokiem podszedł do stołu. Obiema rękami wsparł się o blat i pochylił nisko. Zionął świeżym zapachem alkoholu.

— A ty co tu robisz, Henryczku? — zapytał i zwinnym ruchem prawej ręki ułapił za ucho przedstawiciela RSW „Prasa”, Kopycińskiego. Tamten cofnął głowę. Ale redaktor Tymoteusz Bryk nie popuścił jego ucha. Silnie trzymał dwoma palcami i pociągał nawet. — Nieładnie tak! — powiedział nie przestając uśmiechać się szeroko. — Oj, nieładnie, Henryczku!

Przedstawiciel RSW „Prasa”, człowiek też trunkowy, to wyraźnie znaczyło jego lica (zapewne popijał nieraz z redaktorem Brykiem), zamiast zareagować odpowiednio na tę bolesną imperytynencję, stropił się jak przyłapany na gorącym uczynku przestępca i zabełkotał coś niezrozumiale.

Przewodniczący komisji, pułkownik doktor habilitowany, mężczyzna postawny i bezkompromisowy, poczerwieniał z oburzenia i podniósł do góry swą szeroką, grubą dłoń. Równocześnie redaktor Tymoteusz Bryk puścił ucho nieszczęsnego przedstawiciela „Prasy” i tę wolną już rękę uniósł w górę identycznym ruchem co pułkownik.

Obaj prawie w jednym momencie grzmotnęli swymi rękami w blat stołu.

— Co wy sobie myślicie! — wrzasnął pułkownik doktor habilitowany.

— Nic! — odparł buńczucznie redaktor Tymoteusz Bryk. — Chcę tylko powiedzieć, że ja tę całą weryfikację to mam gdzieś! — Głos miał cienki, ale przenikliwy. Kończąc zaś swą wypowiedź odwrócił się tyłem do komisji i wypiął. — *Fuck off!* — zaklął po angielsku i wytoczył się z pokoju trzaskając drzwiami.

Członkowie komisji milczeli zaskoczeni.

— Trzeba na kolegium tego starego chuligana — pierwszy odezwał się przedstawiciel resortu, major ubrany po cywilnemu. Spojrzał na pułkownika doktora habilitowanego, który wycierał sobie twarz chusteczką.

Nie zdążyli jednak przeanalizować tej sprawy i podjąć odpowiedniej decyzji, kiedy drzwi otworzyły się ponownie i do gabinetu wsunął się cicho jak myszka redaktor Wyśiętek.

To nie był człowiek pijący i tym bardziej dzisiejsze pijaństwo zdewastowało jego organizm. Ślina spływała mu kącikami ust, a klapę marynarki miał paskudnie zafajdaną jakąś zakąską lub,

nie daj Boże, czymś innym. I czekał. Tak! Czekał raz po raz. Przy tym próbował być grzeczny i unizony. Pokłonił się nisko każdemu członkowi komisji z osobna.

— A o tym stanie wojennym — nagle roześmiał się głupkowato — to ja już wiedziałem 10-go grudnia! Od jednego z komitetu.

Przedstawiciel PZPR uniósł się nieco na krześle.

— Od kogo? — zadał pytanie rozdrażnionym głosem.

— Rysiek mu na imię — odparł redaktor Wysięk. — Nazwiska nie pamiętam... — Przestał chichotać. Posmutniał. Pociągnął nosem. Smark wisał mu na czubku nosa. — To wszystko jest niskie i podłe! — wyprostował swą chudą, żalosną postać i wyrzucił z siebie jednym tchem te słowa. Wyraźnie przygotował się do tej wypowiedzi. — Ale mam żonę i dwoje malutkich dzieci, więc muszę... — czknął potężnie i zatoczył się prosto na stół.

Przewodniczący komisji, pułkownik doktor habilitowany, cofnął się z krzesłem na bezpieczną odległość. Inni osłonili się rękoma. Ale na szczęście nic nie wyrzucił ze swego wymęczonego żołądka redaktor Wysięk. Wtedy pułkownik zmobilizował się już i popatrzył na niego ze wstrętem. Inaczej sobie wyobrażał inteligencję twórczą.

— Wyjdźcie! — rzucił szorstkim wzrokiem. — Porozmawiamy sobie kiedy indziej.

Redaktor Wysięk popatrzył na niego błędnym wzrokiem i chciał coś jeszcze powiedzieć.

— Wyjdźcie! — powtórzył niecierpliwie pułkownik.

Redaktor Wysięk zrozumiał polecenie i uklonił się nisko komisji. Zataczając się jeszcze bardziej niż jego poprzednik redaktor Tymoteusz Bryk opuścił pomieszczenie.

— To ten siwy chuligan musiał go uchlać — zdążył zauważyć major po cywilnemu, przedstawiciel MSW. Zmarszczył czoło. Najwyraźniej montował jakieś oskarżenie przeciwko Tymoteuszowi Brykowi.

Przedstawiciel Komitetu otworzył papierową teczkę. Przeglądać zaczął akta.

Natomiast Kopyciński z RSW „Prasa”, który nie doszedł jeszcze do siebie po impertynencji wyrządzonej mu przez redaktora Bryka, rzucił krótkie, płochliwe spojrzenie na przewodniczącego komisji, pułkownika doktora habilitowanego.

— Moim zdaniem... — odezwał się niepewnie i utknął.

Trzecią według ustalonej uprzednio kolejności była Nina S. Prowadziła ona w tygodniku kuchnię polską i porady serc. Za-

pukała delikatnie do drzwi i wsunęła do wnętrza swą miłą buzię.

— Nie przeszkadzam? — zapytała szeptem.

— Skądże znowu! — pułkownik uczynił gościnny, szarmancki gest.

Za plecami Niny S. rozległ się jakiś hałas i zaraz odpychając ją wtargnął do pokoju redaktor Wyśięk.

— Przypomniałem sobie! — krzyknął tryumfalnie. — O tej wojnie mówił mi Rysiek Kurczak! To jest towarzysz Kurczak!

Przedstawiciel Komitetu zapisał na karteczce. Zapewne to nazwisko. Pułkownik doktor habilitowany przegnał groźnym pomrukiem gorliwego redaktora.

— Proszę, siadajcie towarzyszek! — uprzejmie wskazał krzesło Ninie S. — No nareszcie — westchnął z ulgą i uśmiechnął się ciepło. — Popatrzył z przyjemnością na jej zgrabne, lekko owłosione nogi w pantofelkach na wysokich obcasach.

Nina S. chwiała się na tych ładnych nogach jak węglarz przy budce z piwem. Z łoskotem uwalila się na krzesło, chwilę jeszcze przewracała zalotnie oczyma i ciężko zwiesiła głowę. Ona też była pijana.

Pułkownik doktor habilitowany poczerwieniał apoplektycznie.

— To jest parodia! — wycharczał i rąbnął pięścią w stół.

Nina S. poderwała głowę.

— Co, co?! — zawołała.

Postanowiono przełożyć weryfikację na następny dzień.

PUSTA TABLICA

Zbiegli po schodach. Było ich kilkunastu. Wyglądali dra pieźnie. Uzbrojeni po zęby. Psy wojny.

Mimo to wśród tłumu przeszli ostrożnie.

Był to pierwszy dzień i wielu ludzi w podróży zastała wojna.

Często oglądali się za siebie. Parzyły ich w plecy ludzkie spojrzenia. Dotarli do pustej przestrzeni. Tu poczuli się pewniej. Ale napięcie trwało. Tłum patrzył na nich. Skupił się ciasno i milczał. Oni zajęli miejsce wzdłuż kas. Wodzili pozornie leniwymi spojrzeniami wokół. Jednak widzieli wszystko. Również słyszeli. Hałas, który wybuchł na górze, poderwał im głowy. Złożeni byli z odpowiednich odruchów i ręce same im szły do broni lub pałek.

To kubeł ze śmieciami stoczył się po schodach.

Wyglądali na zawiedzionych. Rozluźnili się wyraźnie.

Jeden z nich wyciągnął rękę. Wskazał na wielką tablicę z ogłoszeniami. Podeszli bliżej. Tablicę zdobił czerwony napis z chorągiewką wyrastającą z czwartej od końca litery. Znany wszystkim napis. Niżej hasła, rysunki, wycinki z gazet. Gęsto było od kolorowych haseł i symbolów.

Patrzyli. Ten, który był najbliżej, przesunął swego Kałasznikowa na plecy i dwoma rękoma wyciągać począł pluskiewki przytwierdzające napis z chorągiewką do tablicy. Niezręcznie mu to szło. Nie mógł dać sobie rady. Z trudnością wyłuskiwał pluskiewki z drzewa.

Wtedy drugi, bardziej niecierpliwy, pociągnął za zwisający do połowy papier z napisem. Zerwał jednym ruchem. I zdzierał dalej. Czynił to porywczo i brutalnie. Ciągnął strzępami. Wyszarpował ze środka. W kilkanaście sekund ogołocił tablicę.

Jego kamraci spoglądali na tłum. Stali niedbale na lekko ugiętych nogach. Wyglądali na gotowych do skoku.

A tłum patrzył na nich w milczeniu. Spoglądał też na pustą tablicę. Oni skierowali się w stronę peronów. Buty mieli podkute i mocno bili nimi w kamienną posadzkę.

B I B U Ł A

Od spodu dostaje się woda. Mogą drzwi przeciekać. Uszczelnilem gumą. Dalej przecieka. Może podłoga dziurawa. W deszczowy dzień zbierają się kałuże. Muszę gdzieś do warsztatu odstawić. Niech obejrzą. Do Staśka. To rzetelny fachowiec. Na razie trzeba kręcić kółkiem. Same płatności osaczają.

Kobieta przyniosła z FSO stos makulatury. W piwnicy półki chce wykładać. Tam też zakradła się wilgoć. Rura przeciekała i nim przyszli z ADM-u, to dwa miesiące minęło.

Papiery jak papiery. Spojrzałem pobieżnie. Biuletyn jakiś wydawany przez Komitet Zakładowy PZPR u niej w robocie. Już w czasie wojny. Zapamiętałem datę. Czytać mi się nie chciało. Zmęczony człowiek po całym dniu. Co się zresztą można dowiedzieć? Nic.

Ale z rana wpadłem na pomysł. Wyłożyłem tymi papierami samochód. Wrzuciłem kilkanaście sztuk do bagażnika. Na zmianę. Jedne się zamoczą. Wyrzucę i wyłożę suchymi.

I taki początek. Z poniedziałku. Feralny. W taksjarskiej branży bierzemy pod uwagę takie przesady. Początek, powta-

rzam, pierwszy kurs — niedobry. Od razu tak pomyślałem. Pasażer chce, żeby go na plac Zawiszy. Po drodze cztery posterunki. Obliczyłem. Pojechaliśmy. Zależało pasażerowi i wyczułem go, że dorzuci coś do taryfy licznikowej. Drugi posterunek nas zatrzymał. Ale jak! Rzucili się do wozu jak spuszczeni ze smyczy. Przyczyna była w tym, że papier wystawał. Nierówno wyłożyłem pod przednim siedzeniem i przytrzasnąłem drzwiami pół tego biuletynu. Uderzyło ich po oczach drukowane słowo i od razu zatrzymali. Każą wysiadać i pod ścianę stawiają. Pasażera też wygarnęli. We dwóch do wozu wleźli i rewidują. Spod wycieraczek biuletynu wyciągnęli. Bagażnik otworzyli i stamtąd te zapasowe.

— Bibuła — jeden powiada i biuletyn w palcach obraca.

— Panowie! — mówię — jaka tam bibuła?!

— Czyli wroga propaganda — wcale mnie nie słuchał i łupem się cieszył.

Więc mu pokazuję. Czarne na białym stoi. Biuletyn Komitetu Zakładowego PZPR.

— Nie widzi pan?

— Znamy te numery — mówi. — Dla niepoznaki różny kamuflaż bywa.

Patrzę: akurat na pierwszej stronie artykuł pod tytułem „Rola partii w nowej sytuacji politycznej”.

— Niech pan sam zobaczy!

Zawołał drugiego. Czytać zaczęli.

— Trefna rzecz — jeden splunął.

— Wredna jakaś — drugi dorzucił.

Jak im wytłumaczyć?

Przewracam stronicę i na tytuł odpowiedni natrafiam: „Komicz z antysocjalistyczną dywersją Solidarności”. I trzy wykrzykniki. Tłustym drukiem wybite słowa.

— Nie widzicie panowie?

Pół godziny ten suchy branzel trwał. Zmiękli trochę. Ale uczepili się takiego napisu na samym dole pierwszej strony: „Do użytku wewnętrznego”.

— Jak do wewnętrznego — jeden stwierdził — to tylko na terenie zakładu pracy. A pan toś wywłókł na ulicę! Czy nie tak?

Nie dało rady ich w tym względzie przekonać.

Zarekwirowali całą makulaturę. Spisali z dowodu. Pasażera też. On wściekły. Spieszył się przecież. Puścili nas wreszcie. Pierwszy kurs! Cały dzień już może być taki sam. Jedno pewne. Jak ognia unikać wszelkiej makulatury. To zaraza!

POWIELACZ

Zostało nas trzech. Uchowaliśmy się. Bo jednych od razu internowano, a innych aresztowali po strajku. Władek wygospodarował powielacz. Miał szczęście. Pierwszy raz jak u nas pacyfikację robili zomowcy, to przeszli oni jak huragan przez zakład. Szafy, stoły łamali. Jeden futrynę od okna zaczął wyrwać. Sam widziałem. Przeważnie jednak ludźmi się zajmowali. Tych w narzędziowni najbardziej poturbowali.

— Faszysci! — krzyczeli ludzie i oni chcieli usta im zamknąć.

Bili kogo popadnie. Sekretarza partii skatowali. Aż się zesrał. To szuja. Władek ukrył się w beczce blaszanej. Po oleju silnikowym. Oni, ci zomowcy, parę razy tę beczkę kopnęli. Pobiegli dalej. Wtedy Władek wyskoczył i z komisji zakładowej wytaszczył powielacz. Po prostu pod rękę mu się nawinął. Schował na placu, gdzie ciężarówki stały. Dobrze zabezpieczył.

Potem była druga pacyfikacja, ale nie znaleźli.

Nastaly spokojniejsze dni i jeszcze tylko pojedynczych ludzi wyławiali. Władek umówił się z jednym kierowcą. To swój człowiek. Wywiózł ten powielacz z terenu. Rewidowali na bramie, ale nie znaleźli. Przejechał.

Mieliśmy powielacz. Trzech nas było. Dwóch w wieku przedpoborowym, jeden po wojsku. Nie przygniotło nas jeszcze do ziemi i ręce same się pały do roboty. Starzy ludzie krakali, że to już koniec. A my powiedzieliśmy sobie: to dopiero początek!

Więc ochłonęliśmy z pierwszego szoku i spotkaliśmy się po rannej zmianie w starym kamieniołomie. Tam został schowany powielacz.

Dyskutowaliśmy spokojnie paląc papierosy i zastanawiając się nad każdym słowem. Był powielacz. Był papier.

— Trzeba zacząć zaczerpnąć papier — powiedział Jurek Kobyłka. Głos miał świszczący. W strajku ząb mu wybili na przedzie.

Dotąd nikt z nas poligrafią się nie zajmował. Ani pisaniem. No, ja raz. W tamtych sierpniowych dniach zredagowałem odezwę i całą montaźownia zaakceptowała bez poprawek.

Władek znał się na technice. Powielacz nie stanowił dla niego problemu. Obejrzał, tu i tam ruszył jakąś śrubką.

— Rozgryzę tego dziada — powiedział stanowczo.

Opracowaliśmy program. W pierwszym numerze damy relację z przebiegu strajku w fabryce. Listę aresztowanych i inter-

nowanych oraz ogłoszenie o zbiórce pieniędzy na akcję pomocy dla tych ludzi. Może jeszcze apel Wałęsy. Na razie starczy. Dwie kartki bibułkowego papieru.

— Sto egzemplarzy da radę wybić — stwierdził Władek.

Już to widziałem! Rozprzestrzenia się wolne słowo. Sto egzemplarzy, pięćset, tysiąc... Ludzie z rąk sobie wyrrywają. Bezpieka się wścieka, w żaden sposób na ślad nie mogą trafić.

Jurkowi Kobyłce błyszcząły oczy. Pewnie o tym samym myślał.

Rozległ się warkot samochodu. Schowaliśmy się za kamiennym nawisem. Przejechał autobus.

— Robotę można zacząć od razu — powiedziałem.

Ciotka Pela mieszka na Budach. Prawie wieś. Dalekie przedmieście. Mały domek na uboczu. Starzy ludzie. Ciotka Pela głucha. U niej na strychu można nawet fałszywe pieniądze bić!

Powiedziałem kolegom. Nic lepszego nie mieli do zaproponowania.

— Mój szwagier — odezwał się Władek — przewiezie cały ten interes swoją Nyską.

Jego szwagier prywatnie jeździ bagażową taksówką.

Na tym stanęło.

P A W

Dworzec świecił pustkami. W nielicznych, otwartych kasach siedziały beczynn timer kasjerki. Garstka podróżnych rozproszyła się na ławkach i pod ścianami. Siedzieli drzemając lub spoglądali przed siebie. Telewizor migotał zmiennymi obrazami. Kilku wyrostków skupiło się przed ekranem. Panowała cisza. Zamarły dworzec. Takie sprawiał wrażenie. Ani śladu tej gorączkowej bieganiny, przepychania się przy kasach, kłótni i prośb, czy dopytywania się o odjeżdżające pociągi. Zniknęli prawie zupełnie tak charakterystyczni dla życia dworcowego włóczyki obojga płci, zapijaczone kobiety w wieku trudnym do określenia i kudłaci, skretyniali mężczyźni. Może kilka takich postaci przycupnęło gdzieś tam w najciemniejszych zakamarkach dworca. Zaszczute i niepewne, czy lada chwila nie odkryje ich wszędochyłskie oko.

Cisza najbardziej uderzała w uszy. Toteż mocny stukot podkutych butów po kamiennej posadzce poderwał głowy nielicznych podróżnych. Pustą przestrzeń dworcowej hali przemierzał mili-

cyjny patrol. Pięciu roślących, dobrze odżywionych mężczyzn. Rozglądali się dokoła. Zbudzili jakiegoś śpiącego starca. Sprawdzali jego dokumenty.

Ludzie zaraz opuścili głowy. Unikali zetknięcia z czujnymi oczyma patrolujących. Patrol podążał do schodów prowadzących w dół na perony.

Wtedy z przeciwnej strony rozległ się nieoczekiwany łoskot. Wypełnił cichą, pustą przestrzeń i zagłuszył kroki patrolu.

Ludzie znów poderwali głowy. Zapatrzyli się w tamtą stronę. Z rozsuwających się za pomocą fotokomórki szklanych drzwi wtoczyła się na dworzec waliza na kółkach. Wielka, żółta waliza z metalowymi okuciami, oblepiona kolorowymi nalejkami hoteli i towarzystw podróży w wielu językach. Przejechała kilkanaście metrów i stanęła. Za nią wszedł Murzyn. Wspaniały, wysoki Murzyn w białym kożuchu. Dłonie pobłyskiwały mu złotem sygnetów i pierścieni. Niedbałym krokiem zbliżył się do walizy i popchnął ją silnym wyrzutem swej długiej nogi. Popędziła na kółkach. Brzęczała i zgrzytała.

Patrol, który akurat zstępował na pierwsze stopnie schodów prowadzących na perony, zatrzymał się jak wryty. Milicjanci odwrócili głowy. Twarze mieli skupione, spojrzenia niedobre. Dłonie spoczęły na maszynowej broni.

Murzyn znajdował się już na środku dworcowej hali. Waliza przy nim. Znów wprawił ją w ruch energicznym wykopem nogi w miękkim, zgrabnym bucie na wysokim obcasie. Rozchylone poły białego kożucha odsłoniły jaskrawo czerwony sweter i czarne spodnie z welwetu. Paw! Wyglądał jak ucieleśnienie bujnej, wyzywającej wolności. Wolności niemożliwej do okiełznania.

Ludzie patrzyli w urzeczeniu. Światła pociągów, dalekie podróże... To mieli w oczach.

— Mamo! — szepnęła malutka dziewczynka. — Patrz, Murzyn! — wyciągnęła rękę. Patrzyła z zachwytem.

— Co, nie widziałas Murzyna?! — matka gniewnie szarpnęła ją za rękę. Sama też zachłannie wpatrzyła się w tę kolorową, wyniosłą postać.

POLITOLOG

Zajrzałem do jego brulionu i przyznaję: ogarnęło mnie zdumienie! W tym brulionie pisywał dotychczas na brudno domowe prace z arytmetyki i polskiego. Następnie przepisywał

do przedmiotowych zeszytów. Sam z własnej woli stał się takim pedantem. Od pierwszej klasy stosował tę metodę. Teraz jest w trzeciej i zniechęca tak coś mnie tknęło. Cały brulion wypełniony był rysunkami. Nigdy dotąd szczególnie nie pociągał go rysunek. Tymczasem zobaczyłem, że ledwo zaczęte obliczenia, czy wypracowania poprzetykane są całymi stronicami rozmaitych obrazków. Skąd to się wzięło? Jeszcze niepewna kreska, ale sens wyraźny. Bardzo wyraźny. Czasem podpisami sobie pomaga. Najbardziej dla niego ważna jest treść. Ta preferencja treści nad formą rzucała się w oczy.

Oto taki rysunek: ogromny z kilkoma fałdami podbródka Breżniew. Te brwi krzaczaste zupełnie udatnie mu zaznaczył. Przed Breżniewem klęczy nasz generał. Za nim inni ludzie leżą pokotem dotykając głowami butów generała. Z tyłu stoi olbrzym z wąsami. Wąsy do samej ziemi. Podnosi za kark leżących. Generał, polski lud — miniaturowi, karzełki zgoła. Breżniew zaś olbrzymiego wzrostu i także ten z wąsami. Interesujące. Przyznaję. Swoista satyra polityczna. Wciągnęła mnie ta twórczość. Długo wertowałem brulion. Następnym rysunkiem, który szczególnie zapadł mi w pamięć, był internowany Wałęsa. Siedzi. Więc posadził go na krześle. Okno okratował. Straż wystawił. Czołg, działo i czterej z napisem ZOMO. Drzwi uchylił. Zagląda generał. Uśmiecha się na widok uciemzonego, bezsilnego Wałęsy. Ale nad generałem zawisła bomba. Sugestywnie to wyglądało. Bomba z wykrzyknikiem.

Mnóstwo tych rysunków. Niektóre przekreślone. Nie był z nich zadowolony. Inne zaczęte i porzucone. Jeszcze inne w trakcie pracy. Pomysły. Przede wszystkim miewa pomysły. Jakieś fabryczne zabudowania z kominem. Atak zomowców. Niosą sztandar z napisem ZSSR. Przed fabryką robotnicy, w rękach trzymają butelki opatrzone napisami. Z trudnością odczytałem. Benzyna! Technika czarnobiała. Nie używa kolorowych kredek. Też wymowne. Skąd to się u niego bierze? Zaniepokoiłem się poważnie. Przecież w domu tak bardzo nie politykujemy. Wieczorem, owszem, „Głos Ameryki”, czy „Wolna Europa”. Ale w normie. Z rzadka oglądamy nasz dziennik telewizyjny. I komentarze. Jasne! Nie można obyć się bez komentarzy. Jednak niezbyt często. Wszystko przecież już zostało powiedziane. Co tu jeszcze roztrząsać! Słyszysz. Rezolutny, przysłuchuje się rozmowom dorosłych. Nie można dopuścić, żeby żył w nieświadomości. Czyżby więc stąd wzięło to początek? Delikatnie podpytałem go w tej kwestii. Oni, ci malcy, sami tak się faszeringują. Z pięć nieznanych kawałów mi opowiedział.

O wronie i tak dalej. Kotwice rysują. Doskonale wiedzą, że to symbol Polski Walczącej. Bawią się w patrole i ściganych. Nikt nie chce być patrolem. Taka dojrzałość przedwczesna. Miał dotychczas skłonność do nauk ścisłych. W skrytości ducha marzyłem tak nim pokierować. Wykształci się na jakiegoś fachowca. A teraz tylko te rysunki sadzi. Seriami. Niezmordowany w tej pasji. Czy to talent? Bo ja wiem. Może rzeczywiście objawiły się zdolności. Plastyk, artysta malarz. Proszę bardzo. Nie mam żadnych uprzedzeń. Żeby tylko nie jakiś działacz, bojownik! Wtedy jak nic zmarnowane życie. Obserwuję go cichaczem. Zasiada do lekcji. Jednak długo się tym nie zajmuje. Już ten brulion otwiera. Zaczyna rysować. Wargi przygryza, czoło marszczy. Świata bożego poza tym nie widzi i nie słyszy!

GŁÓD PRAWDY

Wielka jest w nas potrzeba prawdy. Moim skromnym zdaniem prawda kojarzy się od razu z podziemnymi wydawnictwami. Myślę o rzeczach wydawanych bez cenzury. W związku z tym zdarzają się pomyłki. O jednej takiej nieprzyjemnej pomyłce pragnę opowiedzieć.

Tytułem wyjaśnienia muszę jeszcze nadmienić, że wiele tej literaturze zawdzięczam. Biedne zeszytiki w byle jakich okładkach, papier marny i drobny druk, czytać trudno, psują się oczy. Ile tam treści! Wiele oczywiście już przedtem wiedziałem. Okazało się, że nic to było! Słyszałem, że dzwonią, jak to się mówi, nie wiedząc w którym kościele. Katyń na przykład był mi znany. Sprawcy i jak to się mniej więcej odbywało. Nawet brat matki, oficer z 1939 roku tam leży. Dopiero jednak zapoznawszy się z wydanymi w wyżej wymienionym obiegu materiałami międzynarodowej komisji zaproszonej przez Niemców do Katynia, uzyskałem pełny obraz, wiedzę, fakty, dowody. Również stronnictwa i organizacje działające podczas okupacji. „Państwo Podziemne” Stefana Korbońskiego było dla mnie niezwykle cennym, syntetyzującym wykładem o tych wojennych, mrocznych latach. Mógłbym mnożyć tytuły. Bardzo zabawna praca Piotra Wierzbickiego o gnidach. Zabawna i trafna. Nie będę jednak odbiegał od tematu.

Z przyczyny głodu prawdy stałem się namiętnym pozeraczem wszelkich takich wydawnictw. Chwilami kotłowało mi się to w głowie i musiałem do niektórych lektur powracać. Stan wo-

jenny między innymi dotknął mnie boleśnie od strony możliwości bogacenia swojej wiedzy. Ustał dopływ wyżej wymienionych wydawnictw. Przez pewien czas wracałem do starych pozycji. Katyń przerobiłem czwarty raz. Zarys historii powojennej pióra Poboga-Malinowskiego też kilka razy. Jednak coraz bardziej łaknąłem świeżej strawy. Tyle jeszcze pozostało białych plam, niewyjaśnionych zagadek i zakłamanych wydarzeń.

Przez te lata zgromadziłem dosyć pokaźną biblioteczkę. Ukryłem ją w skrzyni do węgla. Mam zdolności manualne i sporządziłem u spodu skrzyni taką jakby szufladę, niewidoczną nawet dla profesjonalnie wścibskich oczu. Trudno o lepszy schowek. Toteż odnośnie zabezpieczenia miałem spokój. Ale, jak powiedziałem uprzednio, niezaspokojna potrzeba nowych lektur doku-
czyła mi coraz bardziej.

Więc kiedy w biurze starszy inspektor Janicki pokazał na osobności broszurę w szarych okładkach, średniego formatu i średniej grubości, to natychmiast zaświeciły mi się oczy! Tak mimowoli ręce wyciągnąłem do tej nieznanej publikacji.

— Sam cymes — szepnął starszy inspektor Janicki.

„Inwazja upiorów”. Taki tytuł. Czarne litery ociekające czerwonym kolorem. Czyli krwią. Intrygujący tytuł.

Inspektor Janicki jest partyjny i bardzo się bał. Dał mi jedynie do przejrzania w toalecie. Kwadrans, nie więcej. Rzecz składała się z krótkich rozdziałów. Rozdziały opatrzone tytułami. Niektóre zapamiętałem. „Oni są wszędzie, czyli światowy spisak”. „Drapieżne łapy nad Polską”. „Proces zatruwania narodowej jedności”. W pośpiechu i nieuważnie kartkowałem tę przeszło stustronicową pracę. Autor, niejaki pan Ciesiołkiewicz, przeprowadzał wywód o działaniu międzynarodowego żydostwa w Polsce. Zaczynał od lat powojennych, poprzez stalinizm i zbrodnie bezpieki, październik 1956 roku i zajścia marcowe w 1968. Dochodził aż do strajków sierpniowych i „Solidarności”. Wymieniał nazwiska. Modzelewski, Geremek. Nie wiedziałem, że Geremek też. Operował dowodami i przedstawiał, jak to oni zakonspirowali się w różnych środowiskach i instytucjach buszując cały czas i sięjąc zamęt. Sugerował, że we władzach partyjnych i państwowych też siedzą i jedni drugim podają po cichu rękę. Może Jagielski wywodzi się z tej nacji? Wygląd i sposób mówienia ma dosyć charakterystyczny. Wczytać się głębiej nie zdążyłem. Już bowiem starszy inspektor Janicki zaczął walić w drzwi kabiny, gdzie zamknąłem się na wszelki wypadek. Musiałem oddać tę publikację. Wpuścił ją sobie w spodnie za pasek i obciągnął sweter. Nalegałem gorąco, żeby

pożyczył mi kiedyś. Twierdził, że dostał tylko na jeden dzień i od kogo też nie chciał powiedzieć.

Z biura wracałem pod dość silnym wrażeniem tej „Inwazji Upiorów”. Sam ze swoich doświadczeń przywołałem rozmaite skojarzenia. Przecież po ojca przychodzili pracownicy bezpieki, semici właśnie. Również z późniejszych lat przypominam sobie niejednego takiego czarniawego o kręconych włosach czy wydatnym nosie.

Mam znajomego. Od lat udostępniał mi ten owoc zakazany, czyli książki wychodzące bez cenzury. Złożyłem mu wizytę. Podałem tytuł wyżej wymienionego wydawnictwa.

— Może zdobędziesz dla mnie? — poprosiłem nieśmiało.

Zmienił się na twarzy. Coś pisał, odłożył papiery i zerwał się od stołu. Nie przypuszczałem, że swoją prośbą wywołam taką burzę.

— Czyś ty oszalał! — wykrzyknął. — Goebbelsowskiej trucizny ci się zachciewa! Czyżbyś miał czarnosecinne upodobania? Pogromy, bić tych, co z niewiniątek aryjskich macę przyrządzają, tak?

Zaprzeczyłem stanowczo. Nie jestem żadnym rasistą. Skąd! Tylko różnie w życiu bywa... Nie dał dojść do słowa. Z błotem zmieszał tę „Inwazję Upiorów”. Ohydnym plugastwem nazwał i kloaką. Nerwowo przemierzał pokój.

— Ale przecież — udało mi się wtrącić słowo — wydali to w podziemi... Czyli władza w tym rąk nie maczała.

— Władza?! — spojrzał na mnie jakoś tak. Jak na płaza, gada, czy coś w tym sensie. — Po cichu właśnie to im na rękę. Taki jad podskórny sący! Żeby zamęt siać w takich głowach jak twoja!

Stropiłem się. Przestałem się odzywać. Zacząłem mu potakiwać nawet. Nie chciałem go przecież zrazić. Pomyśli sobie źle o mnie i koniec znajomości. Przykro. Nie byle jaki to znawca rozmaitych zagadnień, historyk z wykształcenia.

Ja natomiast jestem zwykłym zjadaczem chleba. Jak zorientować się w tym gąszczu? Co słuszne, a co niesłuszne? Gdzie prawda, gdzie fałsz? Jakim kagankiem oświecić te ciemności? Inwazja upiorów! Tu u nas co jakiś czas takie inwazje się odbywają. Kto wie, jaka łapa kryje się za tym i porusza całą maszynę?

Jednak ten mój znajomy, świątły przewodnik po labiryncie, powiada bez wahania: — Bzdura to wierutna! Średniowiecze! *Auto da fé* po prostu!

Nie wiem, co to znaczy *auto da fé*. A może ten mój znajomy... Cholera wie! Tak pomyślałem i nawet tej myśli nie dokończyłem. Czy jednak nie poprosić starszego inspektora Janickiego o wypożyczenie tej publikacji?

PAN TOSIEK

Zatrudniony został na stanowisku specjalisty i wiadomo było powszechnie co to za jeden. Tajemnica poliszynela. Pan Tosiek. Ptasia główka i włosy ściśle przyлизane. Bardzo blisko osadzone oczy.

Pierwszego dnia dziewczynom w hali maszyn opowiadał o jakimś patrolu. W liczbie mnogiej. Szliśmy. Patrzymy. I tak dalej. Oczywiście on był dowódcą tego patrolu. Zadomowił się w kadrach. Przeglądać zaczął akta personalne. Zadanie otrzymał pozornie rutynowe. Dotyczyło problemu redukcji etatów. Grzebał w tych aktach jako ekspert.

— Nasz inżynier od informacji — tak mówił o nim kierownik.

Pan Tosiek zadowolony z tego wątpliwego komplementu.

— E tam... — odpowiadał — jaki inżynier.

Kierownik sprawdził przy okazji, skąd pan Tosiek się wywodzi. Tak go komplementował i przesadnie chwalił. Stary cynik, mucha w bordowe kropki pod brodą, wygląd filmowego lwa saloonów, dosyć biegle włada francuskim. Imponował panu Tośkowi, który z własnej chęci oświadczył, że może mu zdobyć wódkę po cenie. Alkohol w tym czasie był już na kartki.

Kierownik rozpromienił się cały i pyta:

— A z jakiego źródła, panie Tosiu?

— Z kantyny — odpowiedział pan Tosiek.

— Z kantyny? — zdziwił się obłudnie kierownik. — Czyli zaopatrzenie po linii służbowej, tak?

Pan Tosiek przytaknął.

Była to sobota i w poniedziałek miał nasz kierownik dwie butelki Gorzałki Pomorskiej. A my — niezbite dowody.

Od wojny pan Tosiek zaktywizował się wyraźnie. Również zważniał. Nawet kierownika traktował trochę z góry. Dalej go lubił, to prawda, ale bardziej protekcyjnie. A raz po wystuchaniu jakiegoś dowcipu, klepnął go rubasznie w plecy, co mu się nigdy dotąd nie zdarzało. Niewiele teraz czasu spędzał w swoim pokoju nad aktami. Raczej włóczył się po biurze. Do

pokojów zaglądał, zagadywał. Wszędzie było go pełno. Spotkał na korytarzu małą Basię. Ona i może jeszcze trzy, cztery osoby nadal noszą znaczek „Solidarności”. Spostrzegł od razu ten znaczek. Wpił w Basię oczy jak szpilki. Ona wytrzymała jego spojrzanie.

— Oj, ludzie, ludzie... — westchnął pan Tosiek — co wy robicie!

— Co? — zapytała Basia.

— Nie żartuj, lalunia! — zachnął się i poczerwieniał.

Następnego dnia do inżyniera Waszczyka, który do zawieszenia kierował Związkiem w naszej instytucji:

— Dlaczego ludzie noszą znaczki „Solidarności”?

Tak ostro wszedł w temat.

— Znaczki? — udał zdziwienie inżynier Waszczyk. — To są broszki, kolego.

Pan Tosiek myślał, myślał. Wypadł jak bomba z pokoju.

Znów u kogoś znaczek wytropił.

— Jaka broszka! — z pretensją do Waszczyka. — To jest znaczek zawieszonego Związku!

Waszczyk trunkowy (obecnie kłopoty z trunkami) ciągle podminowany.

— A daj mi pan spokój! — wrzasnął.

Stropił się pan Tosiek. Ogon podwinął i cichy się stał, pokorny.

Ale długo to nie trwało. Przyczepił się do Elki. Ona mu się wyraźnie podoba. Korpulentna osóbką, bardzo wydatne kształty.

— Ale prochnia! — zwierzył się kiedyś naszemu kierowcy. Tak, dosyć trafnie, nazwał majestatyczny zad Elki.

Dopadł Elkę w stołówce i powiedział:

— Musimy, Elu, przeprowadzić poważną rozmowę. Ale taką: albo ja wyskoczę oknem, albo pani!

Wyciągnął ją po pracy na kawę do „Amora”. Ni mniej, ni więcej, tylko zaproponował jej współpracę. Elka głupio się zachowywała. Zamiast odmówić stanowczo, zaczęła się tłumaczyć. Serce ma chore i nerwicę żołądka. Odmówiła, ale na miękko.

Po tej nieudanej randce chmurnym wzrokiem popatrywał na nią pan Tosiek. Potępił odmowę w ten sposób.

Ruchliwy jak pchła. Znalazł sobie współników. Tego chama z kopiarni i kasjerkę. To zawsze były gnidy. Poza nimi nikt się nie dał omotać.

Dziś zaś z samego rana ośmieszył go Włodek Bieliński, cheralawy na pozór mężczyzna, ale trenuje judo. Spotkali się przed tablicą z ogłoszeniami i Włodek Bieliński do pana Tośka:

— W służbie był kolega, to chyba nauczony rozmaitych chwytów, nie?

— Pewnie — napuszył się pan Tosiek.

— To spróbujemy się? — mówi Włodek Bieliński.

— Chętnie! — pan Tosiek na to.

— Gotowy? — pyta Włodek Bieliński.

Pan Tosiek rozkraczył się, ręce wyciągnął i czeka. W jednej sekundzie Włodek Bieliński zastosował jakiś piekielny chwyt i przerzucił pana Tośka przez siebie. Jak workiem gruchnął nim o podłogę.

Dziewczyny z hali maszyn prawie posikały się ze śmiechu.

— Myślałem, że tam was samoobrony uczyli — powiedział Włodek Bieliński.

— Nie na ten rodzaj ataku — wystękał pan Tosiek z podłogi.

Włodek Bieliński pomógł mu wstać. Tamten tak na niego spojrzał. Tyle nienawiści w tych małych oczkach. Pokuśtykał do siebie. Cały dzień przesiedział w pokoju.

GADZIO *

Cygan był pijany. Stał na środku jezdni. Mówił, że jest starym, ciężko pracującym Cyganem, i dalej już nie pójdzie. Nie może iść. Zsunął z pleców na ziemię swój ogromny instrument w futerale. Zażądał taksówki.

— Gdzie tu taksówka! — powiedział bezradnie żołnierz z posterunku kontrolnego. Rozejrzał się. Ani jednego światła na pustej szosie.

Cygan podciągnął nogawkę spodni i odsłonił grubą, włochatą łydkę.

— Te nogi już ustały! — załkał ochryple. Zaczął wygrażać pięścią w ciemność. Kopnął instrument w futerale. — Błdź! — powiedział i z kieszeni palta wyciągnął kłb pomiętych banknotów, kolorowe pudełko zagranicznych papierosów, zapalki. Rzucił to wszystko na jezdnię. Chciał deptać.

Żołnierz przesunął pistolet maszynowy z piersi na ramię, przyklęknął i pozbierał banknoty, podniósł również pudełko z papierosami i zapalki. Wetknął z powrotem Cyganowi do kieszeni palta. Cygan chwiał się i rząził.

* Gadzio — w języku cygańskim — obcy.

Z niedaleka rozległ się miarowy stukot butów.
Żołnierz poruszył się niespokojnie i poprawił broń.

— Idź już — poprosił Cygana.

Cygan wsłuchał się w narastający stukot podkutych butów.

Z nagłą energią podniósł swój ogromny instrument w fute-
rale, zarzucił go na plecy i zwinnym, lekkim krokiem opuścił
jezdnię.

— Dobry z ciebie chłopak, gadzio! — powiedział do żoł-
nierza na odchodne i wcisnął mu w dłoń paczkę zagranicznych
papierosów.

— Gadzio — powtórzył żołnierz to nieznane, cygańskie
słowo.

TELEFON ZAUFANIA

Niski pułap. Pogoda przygnębiająca. Bar „Rio” zamknięty.
Gdzie iść? Stać też zbyt długo nie można. Podejdą, zaczną legi-
tymować. A w domu? Te jęki starych: „Co to będzie! Co
to będzie!”.

Z dała klusować niezgrabnie Błażej. Patrzyliśmy obojętnie.
Dyszał. Podniecony ten grubas.

— Wiecie, chłopaki?! — zawołał. — Dozorcę podpytywali!

To nas jeszcze nie ruszyło. Mało to ludzi teraz wypytują.
Ale z nieskładnej opowieści grubasa pokazywać się zaczęły inte-
resujące kontury. Szukają ludzi z „Solidarności”. Padło nazwisko
Bujaka. Janasa.

Błażej zaklinał się na wszystkie świętości tego zmaterializo-
wanego świata, że cywil jakiś fotografie cieciami podsuwał. Cieć
ogładał, oczy mrużył.

— Jak przyuważę — powiedział — to, rzecz jasna, zamelduję.

Cieć był paskudny i na pewno zamelduje. Nie lubiliśmy go
i on nas nie lubił. Peszyły go nasze wyszukane wypowiedzi
i tracił rezon. Staliśmy pod tym zamkniętym barem „Rio”
i już nie było tak jak przed chwilą.

Relacja Błażeja podziiała na wyobraźnię. Igiełki takie. Czy
pokazywał się ktoś obcy tutaj? Ścigany? Raczej nie zauważyliś-
my takiego. Spokojne, urzędnicze osiedle. Niewysokie bloki usta-
wione w czworokąty. Ale rozmyślać o tym nie przestaliśmy.
Wolnego czasu mieliśmy bezmiar. Ciekł strugą. Uczelni jeszcze
nie otworzyli. Niektórzy z nas byli najczarniejszych myśli o przy-
szłości. NZS zlikwidowane i na pewno niejednego z nas zaczną

się czepiać. Wredny nastał czas. Wieczorami zaś, już w mieszkaniach, zabawialiśmy się w hazardowe oczekiwanie: jaki świński ryj zobaczymy dziś w srebrnym okienku? Jaki plugawiec wygłosi panegiryk na cześć stanu wojennego i czekającej nas szczęśliwej przyszłości? Jaki chwyt retoryczny zastosuje? Czy będzie omijał rafa, czy walnie obuchem bez pardonu? Czy będzie to oracja pełna osobistej nienawiści za tamten czas? Czy wystąpi ktoś przybrany w szaty mentora, z bolesną troską na obliczu? I tak dalej. Te ryje były znakomicie dobrane. Dobór naturalny. Cała parada.

— Parada oszustów — mówił Władek.

I jeszcze na okrasę dorzucano paru sklerotycznych starców, którzy najpewniej w ogóle nie wiedzieli, co się dzieje i do czego ich wypowiedź ma służyć. Ci po prostu byli żałośni. Jak to mówił Władek: „Mit dziadunia prysł mi wreszcie!”. Była to aluzja do jego rodzinnej tradycji. Ojciec nieustannie opowiadał mu o dziadku. Dziadek był idolem rodziny Władka.

Ale powracając do świńskich ryjów. Nasze wieczorne, masochistyczne obserwacje zaowocowały pewnym pomysłem. Pomysłodawcą był nieśmiały, pełen erotycznych kompleksów Dzikus, tak nazywany, ponieważ jako jedynak wyhodowany został w cieplarnianej atmosferze i nieraz bawiliśmy się jego kosztem.

Przecież w naszym osiedlu mieszka jeden z tych piewców stanu wojennego. Tydzień jednak już go nie widzieliśmy. Zapewne unika kontaktów z narodem. Lub zamknął się w swojej pracowni i tworzy, natchniony nowymi czasami.

— Chyba tak szybko willi nie dostał — ktoś zauważył.

Nie mógł dostać tak szybko. Takie tempo nie jest jeszcze na miarę krajowych możliwości.

Wątpliwości zlikwidował Rysio Pisarski. Widział go wczoraj wieczorem. Z psem wyszedł na spacer. Posiada psa gryfona, który wabi się Koko.

Skupiliśmy się intensywnie na pomysle Dzikusia. Był to świński ryj z czołówki. Literat z profesji. Wystąpił jako trzeci w kolejności. Wysoką miał lokatę. Zapamiętaliśmy doskonale jego telewizyjną kreację. Bo tak na co dzień nie interesował nas wcale. Przysadzisty, chodził zawsze z walizkową teczką. Zimową porą nosił kozuch i lisią czapę. Pisywał powieści, których już od dawna nie czytaliśmy. Gust literacki bowiem mieliśmy wyrobiony. Lubiliśmy dobrą literaturę i ostatnio zachwycaliśmy się „Ocalonym językiem”. Jednak wcale nie z powodu rozgłosu wywołanego Noblem dla tego osobliwego pisarza. Już

dawniej naszym prywatnym odkryciem było *Auto da fé*. Toteż nie mogły być w naszym rozumieniu literaturą książki sąsiada z osiedla, w których kicz, lepki erotyzm i prostacka krzepa rywalizowały o lepsze z fałszywym, z góry zamyślonym obrazem rzeczywistości. W tym obrazie prawda znajdowała się wyłącznie po naszej stronie Europy i wyrazem heroicznego wyboru było opowiedzenie się za Wschodem. Pisarz delikatnie osnuwał ten Wschód mgłą mistycznej tajemnicy. Sugerował wręcz, że tam jest trzeci Rzym i my z tej kolebki się wywodzimy. Także prawdziwy humanizm był jedynie naszym przywilejem. Oto podana pokrótce receptura jego wizji, historiozofii i moralistyki. Twórczość ta wydawała się nam niegodna najmniejszego zainteresowania. Była stratą czasu. Od lat, bez względu na etapy i rozmaite wstrząsy, książki tego pisarza wydawano w ogromnych nakładach. Panoszyły się one wszędzie poczynając od witryn księgarskich do mieszkań nowej inteligencji, gdzie zdobiły półki w meblościankach. Były wartością niezmienną i niepodważalną. W jego cieniu my wyrastaliśmy przecież. Cieniem był dla nas. Zabierał nam światło. Dostyc wcześniej staliśmy się tego świadomi i nie utonęliśmy w tym lepkiem, rozpasanym pustostoiu, naszpikowanym obficie opisami przyrody, jadła i końskiego potu, inkrustowanymi tu i ówdzie patosem Boga i Ojczyzny. Właśnie! Miarę obrzydliwości przepełniał jego fałszywy patriotyzm i katolicyzm. Ostatnio w telewizorze usta miał pełne tych bogoojczyńnianych frazesów. A twarz jego przez te wielolecia ukształtowała się tak obłudnie, że z powodzeniem można było dzieci nim straszyć jako wilkiem, który przebrany za Czerwonego Kapturka z trudem hamuje swój apetyt.

Popuściliśmy wodze swej niechęci i każdy dorzucił skromną cegiełkę do portretu pisarza-sąsiada, jak ktoś go dowcipnie nazwał. Dzień po dniu przywalani byliśmy robaczywą grandilokwencją jemu podobnych i żadna sposobność riposty nie została nam dana. Zacieraliśmy ręce. Jednak nie z zimna. Z myśliwskiego ożywienia. Jeszcze ogary nie poszły w las, ale już wkrótce...

Pomysł domagał się szczegółowego opracowania. Tym zajął się Arkadiusz. Umysł miał chłodny, precyzyjny i nigdy nie ulegał łatwym emocjom. Dlaczego studiuje orientalistykę? Urodzony matematyk. Zajmuje się ponadto na swój prywatny użytek Wittgensteinem i często krasi swoje wypowiedzi aforyzmami tego filozofa. Właściwie nie ma wśród nas partnera. Tyle że z nawyku stadnego, osiedlowego życia trzyma się z rówieśnikami.

— Już wiem — wycedził Arkadiusz. Zapalił do białości

naszą ciekawość. — Otóż — ciągnął — należy jeszcze dziś zadzwonić do Komendy Stołecznej MO i podać adres mieszkania, gdzie ukrywa się ktoś podobny do Janasa lub Bujaka. — Wszystkim zaświeciły się oczy. Zapanowała żarłoczna cisza. Smakowaliśmy ten kąsek. — Niech to będzie Bujak — zdecydował Arkadiusz. — Jest on przynętą pierwszej jakości i powinien chwycić.

Następnie przystąpiliśmy do działania.

Długi Michał ruszył w teren. Miał sprawdzić namiary. Wrócił radosny.

— Siedzi u siebie i tworzy — obwieścił. — Słyszałem maszynę do pisania.

Czas ustaliliśmy popołudniowy. Ludzie wracają z pracy. Zapada wczesny, zimowy zmierzch. Równocześnie widoczność jest jeszcze niezła. Chcieliśmy mieć widowisko.

— Zabawimy się w telefon zaufania — tak nazwał tę akcję Arkadiusz.

Był jeszcze spór, jak ma się przedstawić donosiciel telefoniczny. „Życzliwy”, czy „ideowy obserwator”? „Ideowy” brzmi naczalnie i sztucznie. Kto teraz używa takich przymiotników?! Tylko w gazetach. Optowaliśmy za „życzliwym obserwatorem”. Znow poprosił o głos Arkadiusz.

— Zbyt kreatywne — wycodził. — Jak z powieści sensacyjnej brzmi ten „życzliwy obserwator”. Trzeba bazować na realiach naszego życia. Uwiarygodnić komunikat. Krótko mówiąc: niech to będzie cieć, czyli „gospodarz domu”. Tylko w tym wypadku rzecz zabrzmiał naturalnie i potoczy się oczekiwanym przez nas trybem.

Przekonał nas. Logika i realizm. Wobec ciecia nie mieliśmy żadnych skrupułów. Nieraz milicjanci do niego podjeżdżali. Jak ich przyjmował! Chlebem i solą wprost. Wytaczali się z gościny obrzmiali od opilstwa. Jeszcze ten jego przysłowiowy szwagier. „Szwagier do Londynu pojechał”. „Szwagier jest w Szwecji”. Podejrzana kreatura. Czasem podjeżdżał swoją Zastawą i trąbił na ciecia. Cieciovie z potomstwem pędem do niego. Nie było w nas skrupułów. Niech dzwoni cieć. Roli tej podjął się Bolek. Głos ma ochrypły, nieco przyspieszony. Wykonał na poczekaniu próbę i zachwycił. Solidny, rzetelny informator.

Czas, który dzielił nas od ustalonej godziny „Zero”, upłynął błyskawicznie. Roztargniony, nieobecny obiad w domu. Pokręcił się człowiek, przejrzał jakąś książkę i już!

Automat wybraliśmy przy samie. Bolek do automatu. Arkadiusz przy nim jako reżyser. Wystawiliśmy czujkę na rogu. Umówionym sygnałem miała dać znak.

Naprzeciw trzeciego bloku kolonii F jest blok ustawiony równolegle i tam zajęliśmy pozycję na czwartym piętrze w oknie klatki schodowej. Widok mieliśmy znakomity. Widzieliśmy Bolka przez szybę w budce. Podnosi słuchawkę. Wykręca numer na tarczy.

Oto relacja Arkadiusza z przebiegu tej rozmowy. Wierność i dokładność tej relacji nie podlega żadnej wątpliwości.

— Z oficerem dyżurnym proszę! Melduje się gospodarz kolonii F, Osiedle Pod Skarpą. W bloku 15/17 przy ulicy Rzodkiewki, numer mieszkania 44, trzecie piętro. Tak, tak! Widziałem na własne oczy. Wchodził. Rozejrzał się. Podniesiony kołnierz. I skokami na trzecie piętro! Kto?! No jak to kto, obywatelu oficerze?... Jak mu tam? Bujak Zbigniew z „Solidarności”. Tak jest! Skąd? Ano stąd, że dziś z rana obywatel wywiadowca z Pałacu pokazywał mi fotografie. Tak jest! Identyczny. Będę czekał i kikował. Nie, nie, nie wyszedł. Jasne! Osiedle Pod Skarpą. Ulica Rzodkiewki, blok 15/17, numer mieszkania 44. Tak! Będę! — Odłożył słuchawkę.

Wkrótce przybiegli do nas na punkt obserwacyjny.

— Przyjęli meldunek — powiedział Bolek. — Bardzo poważnie. Z sekundy na sekundę brało ich coraz bardziej. Zaraz tu będą!

Ogarnęła nas emocja. Budziła filmowe reminiscencje. Amerykańskie filmy sensacyjne z dżungli wielkich miast. Nowy Jork. San Francisco. Melina handlu narkotykami. Powiadomił donosiciel. Już pędzą...

I nie czekaliśmy długo.

— Jadą! — czujka w postaci Włodka Pisarskiego wyciąga z kieszeni chusteczkę. Wachluje się nią jak dama.

Nadjechały dwa radiowozy. Za nimi suka, czyli buda. Z radiowozów wyskoczyli cywile. Z suki wysypali się mundurowi. Działali sprawnie i szybko. Cywile popędzili jak ogary. Zwinni, barczyści, w pikowanych kurtkach. Wbiegli na podwórze kolonii F. Mundurowi obstawili czworokąt budynków. Cywile podzielili się na trzy kilkusobowe grupki i drapieźnymi skokami wpadli równocześnie do trzech klatek schodowych bloku 15/17. Obserwowaliśmy środkową klatkę. Jeden pozostał w drzwiach. Inni zniknęli.

Dalej już wydarzenia nie były nam znane. Niestety. Co tam

robili? Jak zachował się sławny pisarz? Uruchomiliśmy wyobraźnię. Wpadli i rozbiegli się po pokojach. Może pisarz, ogarnięty twórczą weną, nie usłyszał dzwonka. Wyważyli drzwi. Odtrącili gospozię, żonę pisarza. Zaglądali do łazienki, ubikacji. Z szafy wyrzucili ubrania. Sprawdzili na antresoli. Znaleźmy rozkład tego mieszkania. Identyczne w pionie zajmowali rodzice Dwidziusia. Więc pisarz stał przez chwilę, zdumiony i niemy. Ocknął się. — Jakim prawem! — zakrzyczał. — Co to znaczy! — A oni: — Milczeć! — Wzięli go pod ścianę. Ustawili tyłem i zrewidowali sprawnie.

Czekaliśmy kwadrans, a może trochę więcej. Trzasnęły z rozmachem drzwi na dole. Wypadli na podwórze. Był wśród nich. Tylko w garniturku. Dwóch trzymało go pod ręce. Opierał się. Powłóczył nogami. Wlekli go. Wyrazu jego twarzy nie mogliśmy już dostrzec. Poszarzało. Na podwórzu zgromadzili się gapię. W oknach też. Cicia jeszcze nie było. Może polazł do ukochanego szwagra. Punkt dla nas. Jak najdłużej niech trwa ta opereta. Kordon milicjantów otaczający kolonję tkwił jak mur. Groźny mur. Wtedy pod bramę podjechał Fiat. Wysiedli z niego dwaj cywile. Dostojne ruchy. Tęgawi.

— Sztab akcji — szepnął Arkadiusz.

Do nich powlekli tajniacy pisarza. Puścili go. Pisarz grzebał gorączkowo w kieszeniach marynarki. Coś wyciągnął. Pokazał. Tamci przejrżeli uważnie. Popatrzyli na niego również uważnie. Nagle błyskawiczna zmiana nastroju. Serdecznie chwytają prawicę pisarza. Jeden po drugim. Długo nią potrząsają. Tajniacy odsuwają się do tyłu. Zwieszają głowy. Pisarz już tylko z szefami. Ożywiona rozmowa. Gestykuluje gwałtownie. Oni, ci dwaj, potakują zgodnie. Znów serdeczne uściski. Prawie go obejmują. Finał akcji. Nie ma Bujaka. Radiowozy odjeżdżają. Suka również. Auto ze sztabem na końcu. Sztabowcy jeszcze wychylają się z okien Fiata. Machają do pisarza. Pa! Pa! Pozostał samotny. Mieliliśmy pełną satysfakcję. Nie wiedział jak wracać. Wszędzie stali ludzie. Ta otyła, przysadzista postać! Skurczył się jakoś i nisko pochylił głowę. Wracął jak kundel z podwiniętym ogonem. Chyłkiem. Śmiesznym truchcikiem na krótkich nogach. Potknął się na wyslizganej przez dzieci ścieżce koło śmiertnika. Z trudem utrzymał równowagę. Zdwoił wysiłek i przyspieszył kroku. Zniknął w swojej klatce schodowej. Teraz dopiero pokazał się cieć. Z ogłupiałą miną.

— Co się stało?! — dopytywał się natarczywie. — Co się stało?!

PANI AMALIA BESSARABO

Amalia Bessarabo była kobietą otyłą, jednak ruchy miała lekkie i pełne gracji. W jej twarzy najbardziej zwracały uwagę wielkie, czarne oczy. Od lat przemierzała odległe przedmieścia. Ta korpulentna, niska pani z nieodłączną, staroświecką walizczką, w której posiadała przybory niezbędne do wykonywania zawodu, od razu kojarzyła się mężczyznom mieszkającym w parterowych domkach i starych, czynszowych kamienicach z ich kobietami. Pozdrawiali ją z szacunkiem. Pani Amalia Bessarabo była cenioną akuszerką. Często telefonowano do niej głęboką nocą i nikomu w potrzebie nie odmawiała. Pracowała w szpitalu położniczym. Z niezwykłą łagodnością potrafiła uspokajać wijące się z bólu kobiety. A już po wszystkim unosiła w górę pomarszczone, czerwone niemowlę. Obwieszczała wtedy niskim, dźwięcznym głosem:

— Ot, mołojec jak rzepa! — Albo: — Dziewczonka!

Wschodnie naleciałości w jej mowie odzywały się z rzadka i nikt właściwie nic nie wiedział o jej przeszłości. Czas wolny spędzała przy kartach stawiając wyszukane pasjanse. Teraz, w tych ciężkich, zimowych dniach, jeszcze większą niż zazwyczaj wagę przywiązywała do kart. Karty stanowiły dla niej magiczny, jedynie wiarygodny świat znaków i przewidywań. Czytała w nich jak w księdze i ostatnio stronica po stronicy czarne były od złych wróżb. Toteż jeżeli dawniej cały wolny czas poświęcała kartom, teraz biegła niezmordowanie po wszelkiego rodzaju sklepach, domach handlowych i bazarach. Ogarniała swymi wędrówkami spory obszar miasta, wdawała się w ożywione rozmowy ze sprzedawczyniami i wiedziała doskonale, co dostanie, lub intuicyjnie przeczuwała, gdzie może się coś pojawić. Wracała z tych wypraw obciążona torbami, paczkami i długo w jej mieszkaniu słyszeć było chrzęst, grzechot, chlupot i szelest. Rozpakowywała i układała zakupy. Zapełniła nimi wkrótce kuchnię, antresolę, szafy w pokoju i łazienkę.

Tak rozkładając w ciasnym mieszkaniu zdobyte pudełka z herbatą, kawą, torby kaszy, mąki, cukru, puszki konserw i marynat, dzemy w słoikach, masło, margarynę, butelki z octem, olejem, wódką i spirytusem, kartony papierosów różnych gatunków, kostki zapalek, paczki proszku do prania, tuby kremów, obrusy i ręczniki, zwoje drutu i cepeliowe laleczki, papier w ryzach i rolki papieru higienicznego, prostowała na chwilę swą otyłą postać, ocierała pot z czoła, nie zapominając również przejrzeć

się w lustrze i poprawić farbowane loki nad czołem, i dopiero wtedy spoglądała na mężczyznę z portretu wiszącego nad jej wdowim łóżem. Był tęgi, majestatyczny, ze sterzącymi wąsami, w jakimś trudnym do zidentyfikowania mundurze. Patrzyła i wzdychała. Żegnała się zamaszystym znakiem krzyża i powracała do żmudnej czynności magazynowania zakupów. Rosły one w niebywałym tempie i niektóre zakupione produkty poczynają się psuć. Wydzielały przykrą woń, fermentowały, pęczniały i co kilka dni musiała pani Amalia Bessarabo dokonywać przeglądu zapasów. Niektóre, już nadpsute, ratowała gotując w rondlach lub usuwając zapleśniałą warstwę ze słoików. Niewiele już czasu pozostawało jej na stawianie ulubionych pasjansów. Wyłączała wieczorami telefon. Nie miała ochoty na nagłe wędrówki do ciężarnych kobiet, choć niedawno jeszcze tak cieszyło ją przyjście na świat nowego człowieka.

— Rodzą jak kocice — mówiła brutalnie.

Siedziała przy zielonym stoliku i z napięciem śledziła tajemniczy porządek w kartach. Z tego porządku kolorów i figur ciągle wynikały ponure widoki. Już późną nocą, w szlafroku, z rozpuszczonymi włosami, wpatrywała się w ciemność za oknem i wzdychała tak samo jak do tęgiego mężczyzny z portretu. Wyglądała jak wróżka. Spała płytko i pojękiwała przez sen. W swoim mieszkaniu nie przyjmowała nikogo z wyjątkiem młodej sąsiadki, studentki przybyłej z prowincji i mieszkającej u dziadków. Raz w tygodniu zapraszała ją na kawę, którą podawała w pięknych, porcelanowych filiżankach. Chętnie wtedy opowiadała.

Z jej opowieści wyłaniał się barwny, dawno umarły świat. Rumunia, której nie ma. Lwów, którego nie ma. Orient Express. Salony mody. Chrzcił ją sam metropolita Teodorowicz. Z szuflady wyciągała album w safianowej oprawie, pełen pożółkłych kartonów z fotografiami. Pokazywała brodacza i matronę w czepcu. Byli to jej rodzice i ich świat znajdował się jeszcze dalej. Tak odległy jak wykopaliska. Kiszyniów. Dziadek zamordowany w kiszyniowskim pogromie. Odessa. Pomnik kardynała Richelieu. Przejazdźka statkiem. Grecy. Turek w fezie pali długą fajkę. Nabrzmiące słońcem melony.

Nieoczekiwanie urywała wspomnienia i zaplatując grube palce ozdobione złotymi pierścieniami patrzyła martwo przed siebie.

Dziś opowiadała pani Amalia Bessarabo o niebezpieczeństwach, które czyhały na nią w życiu. Trzy razy chcieli pozbawić ją życia.

Pierwszy raz podczas pogromu w Kiszyniowie. Schowała się wtedy pod pierzynę.

— Ależ pani Amalio! — zdziwiła się studentka. — Przecież wiek się nie zgadza. To ile musiałyby pani mieć lat?

Pani Amalia poruszyła niecierpliwie ręką i ciągnęła dalej.

Drugi raz ręką mordercy cofnęła się z powodu jej urody. To było w rewolucję.

Trzeci raz wykupiła się złotem. To było podczas ostatniej wojny.

Nagle zapadła w martwe zapatrzenie. Równie nagle ocknęła się i powiedziała do dziewczyny:

— A ciebie mi szkoda! — patrzyła na nią z sympatią. Dziewczyna była smukła, czarnowłosa, o lekko śniadej cerze. Może podobna do dawnej, młodej Amalii Bessarabo? Pogładziła ją po policzku.

Dziewczyna ciężko i dziwnie poczuła się w tej atmosferze wspomnień i ciągle obecnego smutku. Zapragnęła wrócić do rzeczywistości. Byстрыm wzrokiem powiodła po tych stosach zapasów zalegających półki, tapczan i kąty spokoju.

— To jest cały magazyn! — powiedziała ze szczerym zdumieniem. — Na co pani to wszystko?

Gniew zapalił się w czarnych, przepastnych oczach pani Amalii Bessarabo.

— Durna ty!

Delikatnym, zgoła czułym ruchem obmacała to, co było najbliżej pod ręką. Coś zaszeleściło, przesypało się z lekkim chrzęstem.

Wieczór skończył się w ten sposób, że obie jeszcze dosyć długo przesypywały mękę i kaszę na sicie odpowiedniej gęstości. Zaległy się tam czarne robaczki.

— Wołki, job ich mać! — wzburzyła się pani Amalia Bessarabo.

BUKIET ZAPACHÓW

Starzeje się mój brat Felek. Zgorzkniał. Nic mu nie pasuje. Sporty go duszą. Klubowych nie cierpi. Baba tylko do złości doprowadza. Zięć mu się nie udał. Skąpiec. Fłaszki nie chciał postawić. Toto-Lotka przeklina. Tyle lat grał i nic. Pięć razy miał po cztery trafienia. Grosze wypłacali. I tak piołunem ziele. Powraca do dawnych czasów. Najchętniej jak go Amerykanie

wyzwolili w obozie i jak dobrze u nich miał. Wspomina amerykańskie papierosy. Najbardziej mu smakowały te z wielbłądem, czyli Camele. Dolara sobie ceni. Aż oczy przymyka jak stary kocur. Mógł zostać pod Amerykanami. Myślał jednak o matce. O młodszym braciszku. Tak powiada. Dlatego wrócił. Było raczej nie tak. Wrócił do kochanicy. Lucyna jej było na imię. Cekał tam na nią w amerykańskiej zonie. Próbowala dęba dać z Polski i złapali ją na granicy. Dlatego wrócił. Mówię mu o tym w oczy. Pytam:

— Pamiętasz Lucynkę, nie?

Spluwa i krzywi tę gębę z dwoma szramami od noża.

— Co mi tam będziesz o kurwach gadał!

Z tą Lucyną nie wyszło mu w życiu. Innego sobie lwa znalazła.

Ciągnie Felek uparcie ten bajer, że do nas wrócił. Do matki, młodszego braciszka. Wrócił i co miał z tego?! Pognali go w żołdacy. Ciężką miał służbę. Męczyli go w informacji. Dlaczego tak późno wrócił. Tam, u Amerykanów, był do 1945 roku. Chwali się, że chociaż Niemek przerzucił *skolko ugodno*. Wojsko odsłużył w karnej kompanii. Węgiel musiał fedrować.

— W gazowej kopalni, rozumiesz? — ciągle powtarza to samo. — Papierosa nie można, nawet dymkiem jednym się sztachnąć, od razu wybuch!

Nic mu nie pasuje. Zmarnowane życie. Tyrał i tyrał. Czego się dorobił? Baby i dwójki dziewczynek. Jedna córka udana. Fach ma, fryzjerka, i męża też z fachem. Druga chłopaków zmienia i lekkie życie jej w głowie. Widział ją z Arabami. Tyle się dorobił. Nawet syna nie zmachał. Syn to co innego. Nazwisko pozostaje.

— Nazwisko? — ręką za chwilę macha. — Mało to Wiśniewskich!

Prawda to. Wiśniewskich jak psów.

Zgarbaciały mu plecy, włosy musi sobie farbować i odcisków ma pełno na rękach. W tym jest racja. Tak samo żadnych widoków nie miałem i życie na tym samym mi zleciało. Ale żyć chcę dalej. Czasem z rana jak słońce wstanie, czy zimą w pierwszym śniegu... Dla Felka wszystko czarne i marne. Lubi opowiadać, jak ludzie umierają. Kolegę pochował. Wylew do mózgu. Leżał dwa dni i przypadkiem odkryli sąsiedzi zwłoki. Zima, to się nie psuło. Kot był przy nim i miauczał okropnie. Inny od wódki padł. Wyszedł przed dom, zapalił i już było po nim. Wódka się w nim zapaliła. Tak mówi Felek. Brednia jakaś. Znalęzli

go śmieciarze. Papieros jeszcze się tlił. Takie i inne zwierzenia Felek opowiada. Nieprzyjemnie go słuchać.

— Zwierzęta lepiej mają — kracze jak cmentarny kruk. — W nieświadomości żyją. A człowiekowi we łbie wieczne palenisko się bzuje. Czy jest to do wytrzymania?

Podobnego jestem zdania. Tylko nie mówię o tym. Po co o tym mówić? Co to pomoże?

Felek postanowił przejść na rentę. Podkładkę miał odpowiednią. Zdrowie zniszczone po obozie koncentracyjnym. Papiery pozbił i przed różnymi komisjami zaczął wystawać. Badali, maglowali. Nauczył się mówić, jak trzeba. Bardzo spodobało mu się życie rencisty. Tam, przy jego bloku, znajduje się niewielki skwerek i na ławkach wysiadują rozmaici renciści. Porobił z nimi znajomości. Zapragnął do tej beczynnej ligi należeć. Oni siedzą na ławkach, niektórzy mają pieski, grają w oko i tyśiąca, coś sobie wypiją i tak patrzą na to życie, co toczy się wokół nich. Kto umarł, na co umarł. O tym właśnie lubią mówić. Najchętniej życie oczerniają. Młodych nie lubią. Młodzi to złoje i zaraza. Było źle, będzie jeszcze gorzej. A jak ładną kobietę zobaczą, to kurwę od razu w niej widzą. Jeden taki najbardziej Felkowi przypadł do gustu. Milczek. Siny nos.

— Padlina i barachło — ma dwa takie słowa i na wszystko one mu starczą.

Felek za nim powtarza. Ten milczek to stary cwaniak. I on Felka nauczył, jak ma przed lekarzami występować. Co prawda, to prawda. Pomógł mojemu bratu.

Stanął Felek przed tą najważniejszą komisją i rentę mu przyznali. Cieszył się Felek jak dziecko. Wyraźnie odmłodził.

— Jestem do końca życia zabezpieczony — powtarzał.

Jakie to było święto dla niego, kiedy pierwszy raz pieniądze odbierał. Czarny garnitur włożył, krawat zawiązał i włosy brylantyną usmarował. Siedział w pustym mieszkaniu i czekał na listonosza. Już kartki na wódkę miał przygotowane. Swoje, żony i młodszej córce zabrał po cichu. Listonoszowi stówkę odpalił. Listonosz zbaraniał. Renciści wcale nie są hojni. Od razu pognał Felek kartki wykupić. Flaszki się obławował i do tych na skwer. Zaczął z nimi tango. Co dalej robił, nie wiadomo. Film mu się urwał. Nie było go w domu przez dwa dni. Trzeciego dnia z rana do mnie wpadł. Zmarnowany, zarośnięty, ręce mu się trzęsą i ślina zapiekła na wargach.

— Bracie kochany! — od drzwi woła. — Zapraw mnie, na rany Jezusa, zapraw! Taki chory jestem!

— Kac ma swoje prawa — odpowiadam.

Prosi, żeby flaszkę zorganizować.

— Dołożę się — mówi i dwie stowy wyciąga.

Śmiechu warte! Czyli ja mam osiem stów dołożyć. Tysiąc najtaniej na mecie kosztuje flaszką. Nie piłem z nim przecież. Dlaczego jak tę rentę dostał, to do mnie nie przyszedł? Odmówiłem stanowczo. Nie jestem Caritas. Nieraz zresztą tak samo ręce mi się trzęsły. Trzeba się przemęczyć. Jedni przesypiają. Inni przechodzą. Każdy się męczy.

Siadł Felek w kuchni na stołku i tym swoim okiem mętным, zaropiałym po ścianach wodzi. Nagle wstał. Podszedł do półeczki nad kubłem. Przybory do golenia na tej półeczce sobie poukładałem. Za flaszeczkę spirytusu ziołowego chwycił.

— Dobrze to? — pyta.

— Zależy do czego — odpowiadam.

Flaszeczkę w palcach zaczął obracać. I wzdychał.

— Spróbuję — powiedział. Powąchał. Wykrzywił się. — Spirytus ziołowy — odczytał napis. — Czyli zioła i spirytus. — Nalał sobie do szklanki. Wodą dobrał, nie zamąciło się wcale. Przeżegnał się i wypił. Odetchnął głęboko. Czas jakiś siedział nieruchomo i czekał. — Rozgrzewa — oczy mu rozbłysły. I znowu na tę półeczkę nad kubłem spogląda.

Tak po kolei wypił płyn pod nazwą „Bez” i wodę „Derby”. To już były gorsze gatunki. Dolewał wody i od razu mętniały. Wzięło go. Odrodził się. Rozgadał się. To swoje życie rencisty wychwalał.

— Widzisz — mówił — siedzę sobie. Co chcę, to robię. Czas do mnie wyłącznie należy.

Cuchnął przy tym. Takie zapachy od niego były! Sam to czuł i papierosy bez przerwy kopcił. Dymem chciał zabić ten smród.

Po południu poszedł do domu. Zataczał się. Czyli podchmieleony. W domu swojej babie perfumy jeszcze wypił. Zwaliło go z nóg i zasnął. Rano wstać nie mógł. Rozdęło go. Wątroba mu wysiadła. Wyglądał jak chłop w ciąży. Jęczał. Pogotowie żona wezwała. Płukali go czymś, zastrzyki, pod kroplówkę wzięli. Tydzień przeleżał. W nerwach byłem przez ten tydzień. Nie daj Boże, wyprostuje się Felek! Wtedy sumienie by mnie gryzło. Nie postawiłem mu flaszki i pozwoliłem te adikołony wychlać. Po tygodniu wyzdrowiał. Przyszedł i żalu nie miał.

— Głupi łeb! — tak siebie nazwał i na tę półeczkę nad wiadrem zerknął. Pusta ona była. Pochowałem te różne płyny. Niech nikogo nie kuszą.

Siedział Felek do wieczora. Znów narzekał. Renta za mała. Pieniądz przecież leci na łeb. Sto złotych wczoraj, to dziś połowa.

— A dolar! — tylko młasnął.

Córka o tę kartkę na wódkę, co jej zabrał, zrobiła mu awanturę. Leżał i tak się strasznie męczył. Chwilami myślał, że ducha wyzionie.

— Dobrze ci tak! — mówiła baba.

Ci koledzy renciści, co na skwerku wysiadują, wredni jacyś. Pokazuje na spodnie. Agrafką spięte w wiadomym miejscu. Teraz spodnie zamiast rozporków z guzikami mają suwaki. Psują się one, ząbki wypadają.

— Czy to przekleństwo jakieś, czy pech? — powiedział Felek. — Marnie to nasze polskie życie wygląda!

PERUKA

Mamy przykrą sprawę. Zaczęło się od tego, że wpadli do fryzjerek i zaczęli grzebać w perukach. Dwie rudawe im podpadły. Jeden nawet przymierzył w lustrze i sprawdził z jakąś fotografią. Miał kilka takich fotografii w teczce. Zatrzymali te rudawe peruki. Dla celów śledztwa. Tak oświadczyli. Nie byli grzeczni. Raczej opryskliwi i wilkiem na wszystkich patrzyli. Ta garbata fryzjerka dostała skurczów żołądka z nerwów.

Pobiegli do dyrektora. Przez scenę sobie skrócili drogę. Akurat mieliśmy próbę. „Płacz Hioba”. Tekst bardzo wymowny i koresponduje z obecnymi czasami. Kwestię Hioba wygłaszał Zbynio. Jeden z funkcjonariuszy zapatrzył się i zasłuchał. Zbynio świetnie mówi. Najlepszy w naszym zespole. Drugi funkcjonariusz warknął:

— Co tak się gapisz jak wół na malowane wrota!

Czyli jeden na sztukę wrażliwy, a drugi nie.

Długo siedzieli u dyrektora. Podniesione głosy. Sprzątaczką, Florczakową, podsłuchiwała jak zwykle. Przeżegnała się.

— Sądny dzień — wyszeptwała.

Drzwi otwarły się z rozmachem i dostała klamką w czoło.

Dyrektor wyraźnie wściekły.

— Naszego charakteryzatora proszę tu natychmiast!

Pobiegliśmy go szukać. Był on zarazem sekretarzem naszej organizacji partyjnej. Nazywaliśmy go Świeckim Popem. Podobny do ruskich świętych z ikon. Wąska, blada twarz i dzika broda.

Nie było go w teatrze. Wysłaliśmy gońca na miasto. Znalazł go „Pod Różą” przy piwku. Przybiegł cały w nerwach.

— Co się stało? — dopytywał się gońca.

Goniec nic nie wiedział.

— Przesłuchują — powiedziała. — Najbardziej fryzjerki.

Popędził Pop do gabinetu dyrektora. Dyrektor sztywny, oficjalny.

— Proszę, towarzyszu!

Tamci dwaj siedzieli w gabinecie. Dyrektor drzwi za sobą zamknął. Przepędził Florczakową.

Godzinę rozmawiali. Pierwszy wyszedł nasz Świecki Pop, czyli kierownik pracowni charakteryzatorskiej. Jeżeli przedtem był błąd, to teraz stał się zielony.

— Niemożliwe! — powtarzał i brodę targał.

Za nim ci dwaj z SB, młodzi ludzie, ponure twarze. Dyrektor do samego westybulu ich odprowadził. Też rzadka mina.

Funkcjonariusze zabrali ze sobą charakteryzatora.

— Rzec wyjaśnimy u nas — tak jeden z nich powiedział. Otworzył tylne drzwi samochodu.

Charakteryzator tak się obejrzał wymownie. Cały zespół go żegnał i personel techniczny również. Wszyscy w oknach i na schodach przed budynkiem. Szczerze mu współczuliśmy. Wiadomo, czy wróci? To niezły człowiek. Lubiany przez wszystkich.

On też jakby się żegnał. Nie tylko z nami. Ale i z tym teatrem, gdzie przepracował 15 lat bez mała. Spojrzał na secesyjny fronton z amorkami, pamiętający czasy Franciszka Józefa. Westchnął. Ciężko opuścił głowę. Wreszcie wszedł do samochodu. Oni z dwóch stron jak kleszcze go wzięli i pojechali.

W teatrze wrzało. Tylko o tym mówiliśmy. Próba już nie szła. Wszyscy w bufecie. Na kilku wiadomych krzywo zaczęliśmy spoglądać. Może donos jakiś.

W międzyczasie jeszcze przyjechał funkcjonariusz innego usposobienia niż jego poprzednicy, grzeczny, układny, i dziurę w brzuchu wiercił fryzjerkom. Komu pożyczano peruki? Kto nie oddał? Nazwiska, adresy. Odpowiadały zgodnie z prawdą. Mielśmy przecież umowę zatwierdzoną przez wydział kultury. Pomoc amatorskim zespołom w terenie. No to im pożyczaliśmy garderobę, dekoracje, peruki. Tak było. Funkcjonariusz zapisał ze cztery strony w swoim notesie i poszedł.

Dopiero przed samym spektaklem wrócił nasz charakteryzator. Wymęczyli go. Ledwie się trzymał na nogach. Spięty taki. Istny święty z ruskich ikon.

— Chłopaki! — prosił. — Dajcie kielicha!

Dali mu głębszą miarkę. Elektrycy zawsze mają coś w zapasie. Wychylił jak szewc. O drugą poprosił. Nie można odmówić człowiekowi w takiej potrzebie. Doszedł nieco do siebie. Od-tajał.

— Jestem zobowiązany do absolutnej dyskrecji — oświad-czył. — Ale... — i ręką machnął.

Wszystko opowiedział. Sensacja! Schwytali przewodniczą-cego naszego regionu „Solidarności”. To był ostry facet. Cały czas działał z ukrycia. Niestety. Wpadł. Był w peruce. Oto przy-czyna całej afery.

Dyrektor, który trzęsie się o swój dyrektorski stołek, nie wytrzymał i zapytał:

— I co? W naszej peruce był?

— Skąd! — zaprzeczył charakteryzator. — Tłumaczyłem im od początku. Tylko trudno ich przekonać.

— Taki przystojny! — rozczuliły się dziewczyny nad schwy-tanym przewodniczącym.

— Skandal! — zakończył charakteryzator. — Tak mnie trak-towali jak złoczyńcę po prostu! Jeden siedział naprzeciw, roz-party, marynarka rozpięta, i spluwę było widać. Drugi z tyłu, ponury drab, za plecami jego ciężki oddech słyszałem... Dajcie mi kielicha!

Tym razem dyrektor sięgnął do swojego barku po reprezenta-cyjny winiak.

I tak to się ciągnie. Już czwarty dzień. Rano albo w połud-nie wzywają charakteryzatora na przesłuchanie. Wychodzi błdy. Wraca jeszcze bledszy. Jutro też musi do nich iść.

PRZY KASIE

Kasa wydawnictw prasowych wznowiła swą działalność. Dziś od 12-tej do 15-tej wypłacali zaległe honoraria. Tłum walił po pieniądze. Około godziny 14-tej na korytarzu przed okienkiem z pulpitem przerzedziło się znacznie. Na wypłatę czekali dwaj zaprzyjaźnieni krytycy z zawieszonego miesięcznika literackiego, jeden na etacie, drugi wolny strzelec. Za nimi otyła pani, którą ci dwaj kojarzyli z tygodnikiem dla kobiet. Ostatni był niski osobnik w wojskowych butach, który w kąciku ust obracał za-gasłego papierosa w szklanej lufce. Po korytarzu krążył również młody, przystojny mężczyzna w skórzanym płaszczu. Zajmował

pierwsze miejsce w kolejności. Jednak nie stał, tylko przechadzał się i często spoglądał na zegarek.

Pani kasjerka wstrzymała na pewien czas wypłaty. Z sąsiedniego pokoju otrzymała raport do podliczenia. Musiała sprawdzić długą kolumnę cyfr. Korzystała z elektrycznej maszynki do rachowania.

Mężczyzna w skórzanym płaszczu zasiadł przy stole umieszczonym pod ścianą. Nad stołem wisiła za szkłem gazetka Ligi Obrony Kraju. Na stole telefon. Mężczyzna w skórzanym płaszczu wykręcił numer na tarczy i donośnie powiedział w słuchawkę:

— To ja! Cześć! Tak jest. Może wpadnę. Jasne! — mocno odłożył słuchawkę na widełki. Spojrzał w okienko. Pani kasjerka nadal zajęta była bilansowaniem raportu. Ponownie podniósł słuchawkę. Wykręcił numer. Uśmiechnął się radośnie. — Żaneta! Cześć! To ja! Długo tam będziesz?... Acha! Wpadnę, dobra? Pa!

Pani kasjerka wychyliła głowę z okienka.

— Czy jest ktoś z „Rzeczywistości” i „Za wolność i lud”?

Mężczyzna w skórzanym płaszczu wstał energicznie.

Uprowadził go jednak niski w wojskowych butach.

— „Za wolność i lud” — powiedział zakatarzonym głosem. Wyszmarował się w chusteczkę. Twarz miał szarą i niechlujnie ogoloną brodę. Cicho wymienił swoje nazwisko.

Pani kasjerka podsunęła listę płac. Podpisał zamasyście. Pieniędzy nie liczył. Zagarnął i odszedł.

— Jeszcze ktoś z państwa? — zapytała pani kasjerka.

Przy okienku już stał mężczyzna w skórzanym płaszczu, który ciężkim wzrokiem odprawił niskiego w wojskowych butach.

— „Rzeczywistość” — powiedział.

— „Rzeczywistość” — powtórzyła pani kasjerka. Wodziła ołówkiem po długiej liście płac. — Godność pana?

Wymamrotał niezrozumiale.

— Słucham?

— Modrzyk — powiedział wyraźnie.

Krytycy z zawieszzonego miesięcznika literackiego zachichotali jednocześnie. Mężczyzna w skórzanym płaszczu obejrzał się nerwowo. Oni jednak miny mieli obojętne.

Redaktor Modrzyk był filarem pisma „Rzeczywistość”. On to najbardziej zajadłe występował przeciw „Solidarności” i w ruchu tym widział jedynie Żydów i obcych agentów. Styl miał plugawy, dużą inwencję w obelgach i określał się mianem żarliwego, ideowego komunisty.

Pani kasjerka znalazła wreszcie jego nazwisko na liście.
— Osiemset — powiedziała.
— Ile?! — zdumiał się redaktor Modrzyk.
— Osiemset — powtórzyła pani kasjerka. — Czy coś się nie zgadza?
— Przymało — powiedział zirytowanym głosem.
Pani kasjerka powróciła do papierów i jeszcze raz je przejrzała.
— Nic więcej nie ma — stwierdziła stanowczo i zaczęła odliczać wyszczególnioną kwotę.
Dwaj krytycy zachichotali ponownie.
Mężczyzna w skórzanym płaszczu szybko wsunął pieniądze do kieszeni i ruszył ku wyjściu.
— Proszę podpisać! — krzyknęła za nim pani kasjerka.
Redaktor Modrzyk cofnął się i machnął pośpiesznie swoje nazwisko długopisem przywiązany do kratki w okienku. Znow energicznie zwrócił się do wyjścia.
Wtedy otyła pani delikatnie powstrzymała go za rękaw.
— Tam — powiedziała przyciszonym głosem i głową wskazała na stolik.
Leżała tam jego czapka z lakierowanym daszkiem.
Mężczyzna w skórzanym płaszczu jednym susem dopadł stolika, chwycił czapkę i nie nakładając jej wybiegł z korytarza.
— Czy jest jeszcze ktoś z „Rzeczywistości”? — pani kasjerka uśmiechnęła się prawie niedostrzegalnie do tych dwóch krytyków z zawieszonego miesięcznika literackiego.
Następne wypłaty przebiegły szybko i w milczeniu.

Z A W A Ł

Pana Bratka wzięli do szpitala dopiero po świętach. Ten pierwszy lekarz z pogotowia tylko jakieś leki mu zapisał i mówi do nas poufnie:

— Czy mam rzecz całą wyrazić dosadnie?
— Proszę bardzo, panie doktorze!
— Otóż jest to pacjent-pierdoła. Tyle państwu powiem. Przeczulony, podnosi alarm bez powodu.

To było przed świętami. Święta pan Bratek przeleżał w domu. Nosiliśmy mu to i owo do jedzenia. Wyglądał marnie. Nawet radia nie słuchał.

Pierwszego dnia po świętach przybiegł do nas wcześniej rano.

— Bardzo przepraszam — był blady, rysy wyostrome. — Tak mnie tutaj ciśnie — pokazał na mostek. Wyraźnie sercowy trop.

Pobiegłem na komisariat. Stamtąd zadzwonili swoją linią na pogotowie.

Przyjechali i natychmiast go na nosze i do szpitala.

— Zawał — stwierdził młody lekarz.

Powiedzieliśmy mu o diagnozie tego poprzedniego konowala. Nic nie odpowiedział. Dyskrecja zawodowa. Lekarze w takich sprawach nabierają wody w usta.

Miesiąc trzymali pana Bratka w szpitalu. Wrócił w sobotę. Cudem wyszedł z zawału. 80-ty rok życia zaczął wraz z tą cywilną wojną, którą ogłoszono 13 grudnia. Oczywiście jest rzeczą, że cała ta wojna mniej go obeszła niż własne serce.

Zawodowy podoficer z 1939 roku. Przebywał dwa lata w Rosji. Stamtąd wyszedł z Andersem. Walczył pod Monte Cassino.

Pojawił się u nas w niedzielę i od razu nie omieszkął przypomnieć, czy przeczytałem już książkę Olgierda Terleckiego o Monte Cassino, którą pożyczył mi przed chorobą.

Siedzieliśmy przy stole, herbatka, konfitury i gadu, gadu. Niepostrzeżenie jednak stan wojenny stał się wyłącznym tematem rozmowy.

Pan Bratek dosyć dobrze zorientowany. Tam, w szpitalu, słuchali radia. Pewien chory, „profesor” mówił o nim pan Bratek, miał tranzystorowy odbiornik Spidola i łapali rozmaite zagraniczne stacje. Głos Ameryki znacznie powiększył swój serwis na dobę. Tylko za dużo powtarzają.

— Sylwia Danil — powiedział pan Bratek — tam czyta dziennik. Jaka ona może być? Sądząc po głosie bardzo przyjemna niewiasta.

Wracał do zdrowia. Ta galanteria wobec kobiet. Witając się z żoną nie zapomniał po wojskowemu stuknąć obcasami. W muszce pod szyją i czystej koszuli, wąsiki podczernione henną. Choć to zaostrenie rysów i pergaminowa błądź cery pozostały jeszcze. Ale znów chętnie gawędził.

Ostatni raz przed chorobą opowiadał o forsowaniu masywu, zagradzającego drogę do klasztoru Monte Cassino i waleczności dywizji nowozelandzkiej. Tego wieczoru przeważnie sięgał do wspomnień związanych z pobytem w Rosji. Faza obozowa, następnie pobyt w wojsku w Kujbyszewie. Faza obozowa. Tak ten okres nazwał. Początkowo był za Uralem.

— Orenburg — rzekł. — Tak za cara nazywało się to miasto.

Jeździli tory reperować. Dobrze miał tam. Przypadł do gustu nadzorcy. Nadzorca miał polskie nazwisko. Kucharski, Kowalski, coś takiego. Ale po polsku nie mówił ani słowa. Pan Bratek nosił buty oficerki. Nadzorca zachwycał się tymi butami.

— *Charoszyje sapagi* — powtarzał do znudzenia.

Razu pewnego pan Bratek zaryzykował i pożyczył mu oficerki na praznik, czyli święto. Ryzyko. Mógł nie oddać.

— Tam strasznie złodziejski naród — powiedział pan Bratek.

Jednak oddał. Ten fakt jeszcze bardziej zacieśnił serdeczną więź między nimi. Często tak bywało, że brygada szła do roboty na torach, a pan Bratek do mieszkania nadzorcy. Czysto, ciepło. Miła żona. Częstoowali go ziemniakami okraszonymi olejem z cebulą. Pili samogon. Rusek był dobrym człowiekiem. Tylko umysł miał przerobiony. Tak powiedział pan Bratek. Przeważnie rozmawiali o tym, jak żyło się w pańskiej Polsce. Rusek tego był ciekaw. Często nie wierzył. Puszczając oko i głowę kręcił. Czyli za bajki to brał. Ale słuchał. Jego żona również. Sprzedał mu pan Bratek swoje oficerki. Dostał filcowe, ciepłe walonki i jeszcze ruble. Te ruble bardzo mu się przydały. Kupował na targu żarcie.

Następnie przenieśli pana Bratka już na Sybir. Pewien odcinek drogi płynęli barką. Od ujścia jakiejś wielkiej rzeki w dół. Jej nazwy zapomniał pan Bratek. Kilkuset chłopów stłoczonych w ładowni. Przedtem kolega umarł. W jednej kompanii służyli. Kapral Wesołowski. Rodem z Łomży. Pan Bratek był na jego pogrzebie. Popłakał się wtedy. Na obcej, dalekiej ziemi pozostał Wesołowski. Płynęli tą barką trzy doby. Pan Bratek miał gorączkę. Szczekał zębami i okropnie pić mu się chciało. Karmili ich solonymi śledziami. Aż tu nagle ktoś krzyczy: — Wesołowski, nie rozpychaj się tak! — Panu Bartkowi zjeżyły się włosy. Ciemność w ładowni jak w piekle. Ludzie jęczą i przeklinają. Co z Wesołowskim? Czy on jest z nimi? Jeżeli tak, to gdzie oni właściwie są? W innym życiu? Była to zwyczajna pomyłka. Tamten wziął za Wesołowskiego kogoś zupełnie innego. Różne perypetie zdarzały się w drodze. Znaleźli się na Syberii. Był to duży łagier. Kilkadziesiąt baraków. Do koła rozpościerała się bezkresna tajga. Bardzo śpiewnym głosem podkreślił pan Bratek ten bezkres. Lasy bez końca. Chodziły brygady w tajgę i pracowały przy wyrębie drzewa. Mróz był tęgi. Dochodził do kilkudziesięciu stopni. Ale jeżeli nie było wiatru, to szło wytrzymać. Ciężka robota. Niektórzy padali. Z żarciem kiepsko. Pokątnych możliwości żadnych. Pan Bratek

do roboty się nie rwał. Lekarze w obozowym szpitalu poszli mu na rękę. Też byli więźniami. Szczególnie jeden mu pomógł. Nazywał się Iwan Pawłowicz Owczynnikow. Kulturalny pan z siwą bródką w klin. Siedział jedenasty rok. Pan Bratek otrzymał zaświadczenie o złym stanie serca. Zatrudniony został przy najlżejszej robocie. Przed świtem chodził w tajgę i specjalną miarą obliczał w kubikach sęgi zrąbanego drzewa. Polubił tę pracę o świecie. Pięknie nad tajgą wschodziło słońce. Ten widok zapamiętał na całe życie. A widział później w swym życiu niejedno piękne zjawisko. Wylicza. Pustynia Sahara. Piramidy. Szczególnie piramida Cheopsa. Bogactwo włoskiej architektury. Obrazy mistrzów renesansu. Szczególnie freski Michała Anioła w Kaplicy Sykstyńskiej. Koloseum. Wulkany. Nic jednak nie przyćmiło tego słońca, która w zimowy czas wstawało nad tajgą. Las. Śnieg. I nagle taka kula czerwona wzbija się nad białym, mroźnym światem.

— Las, śnieg i to słońce — pan Bratek mruży oczy. Jest w tajdze. Stoi wsparty o swoją miarę. Patrzy na piękno nieba, ziemi.

Pan Bratek nie jest poetą, używa prostych słów. Mimo to też zapatrzyliśmy się i wyobraziliśmy sobie piękno tego północnego widoku.

Za oknem nasza, mazowiecka zima. Gruba szadź na szybach. Wiatr łomocze blachami po dachach. Patrzymy na termometr. Do — 11 opadł słupek rtęci.

— Syberyjski nastrój — powiedziałem i wzdrygnąłem się mimo woli.

— A coś pan myślał! — na to surowo pan Bratek. Nastraszony, zwarty. Dawny podoficer. — Ale się zasiedziałem! — wstał raptownie. — Bardzo przepraszam za najście i całuję rączki szanownej pani!

KOLPORTER

Od dłuższego już czasu rozwożąc bibułę brałem ze sobą dzieciaka. Marysia w zasadzie była zadowolona. Miała więcej czasu dla siebie. Tylko jak to matka przestrzegała, żebym na niego uważał. Uważałem. To jasne. A mały bardzo był zadowolony. Te wycieczki z ojcem sposobą mu się nad wyraz. Ja też lubiłem niegdyś z ojcem sobotnie wyprawy do Młocin. Ze mną malec miał dużo więcej urozmaicenia. Penetrowaliśmy całe

miasto. Nasza gazетка znajdowała coraz więcej odbiorców. Potrzeby rosły. Jeździliśmy tramwajem z Ochoty na Grochów. Przesiadaliśmy się w autobus i jeszcze dalej. Już przedmiejski pejzaż.

— O, las w śniegu! — klaskał w rączki mały. — Jak tu ładnie!

Kilka razy pojechaliśmy kolejką elektryczną. Pola, krowy. Mały wypatrzył nawet chałupy kryte słomianą strzechą. Droga zupełnie jak na wakacje.

Patrzac na sprawę z innego punktu widzenia, mały stanowił dla mnie niezły kamuflaż. Kto by zwracał uwagę na ojca z czteroletnim synkiem. A że przy okazji miałem plecak, czy wyładowaną torbę? Odbiera rodzic chłopaka z przedszkola i po drodze robi zakupy. To sposób życia większości młodych małżeństw. Rozumowałem mniej więcej w ten sposób. Miałem rację. Nie było żadnej wpadki. Mały był moją tarczą i czerpał z tych podróży własne korzyści. Zapoznawał się z życiem, ludźmi. Interesowało go wszystko. Nauczył się rozpoznawać lepiej ode mnie rozmaite marki samochodów. Znał wiele charakterystycznych budowli w naszym mieście. Intraco. Forum. Rotunda. Kościoły. Kiedy znaleźliśmy się na dalekim przemieszczu o zmroku, lubił obejrzeć się za siebie. Wypatrywał dalekiego światła na iglicy Pałacu Kultury. To światło dla niego jak drogowskaz. Śmieszyło mnie to niejednokrotnie, gdyż dla mnie w jego wieku Pałac był jedynie monstrualną, brzydką budowlą nie budzącą żadnych skojarzeń. Małec poznawał kierunki, odległości, dzielnice. Świetnie zaczynał się orientować w topografii miasta. W labiryncie Ursynowa poruszał się pewniej niż ja i chwilami on był moim przewodnikiem. Zdarzały się zabawne historie. Szli zataczając się dwaj pijacy i jeden powtarzał płaczliwym głosem:

— Coraz cieńsza życia szyja!

— Co? — zapytał mój mały.

Długo i zawile wyjaśniałem mu metaforyczny sens tych słów. Zapamiętał i często w nieoczekiwanych momentach posługiwał się tym powiedzeniem.

Miesiąc już trwały nasze wspólne wędrówki i obaj byliśmy zadowoleni. Jedynie pewien niepokój budziła we mnie jego reakcja na ludzi w mundurach. Rozróżniał przeróżne służby. Kolarzy, tramwajarzy, strażników, straż przemysłową, żołnierzy, milicję. Żołnierzy i milicję bez pułka, choć teraz chodzą oni w podobnych, zielonych kurtkach i takich samych rogatywkach. Zapytałem, po czym ich poznaje.

— Po szalikach — odparł bez zastanowienia.

Nie znosi milicjantów. Reaguje natychmiast i patrzy na nich wrogo.

— Dlaczego oni są milicjantami? — często zadaje trudne pytanie.

Raz się wybierał żeby osobiście przepytąć stojącego na posterunku funkcjonariusza. Z trudnością go przekonałem o niestosowności tego zamiaru. Innym znów razem zadziwił swoją czujnością. Zwrócił uwagę na jakiegoś cywila, który podążał za nami.

— Tak idzie — szepnął — jak jakiś...

— Kto? — zapytałem.

— Ubek — odparł krótko.

Zdziwiłem się. Przyczyna jednak wydaje mi się oczywista. Tej nocy, kiedy ogłoszono stan wojenny, wpadli do nas. Zrobili rewizję. Bebeszyli wszystko. Po tygodniu znów nas odwiedzili. Zabrali mnie na 48. Miał więc doświadczenia. Uraz. Może to przerodzić się w swoistą dewiację psychiczną. Grozi takie niebezpieczeństwo. Nie zaprzątałem sobie zaudat tym głowy. Przede wszystkim zależało mi, żeby dowiedzieć bibuły pod wskazany adres. Na punkt, jak mówiliśmy w swoim konspiracyjnym żargonie. Szczyciłem się tym, że jestem jednym z niewielu kolporterów bez wpadki. Urodzony pod szczęśliwą gwiazdą. Tak mówili chłopcy z drukarni. To była prawda. Mojego małego zasługa w tym znaczna. Chwilami naprawdę czułem się tak lekko i pogodnie jak na prawdziwym spacerze. Pierwsze przebłyski wiosny. Błękitne niebo, słońce. Idziemy wolnym krokiem. Gapimy się na ptaki. Tych wron i kawek siedzi pełno na śmietniku. Pomagało to na nerwy. Nie czułem bibuły w worku. Ostatnio były wyroki. Dwa lata. Półtora. Heniek właśnie. I jak głupio wpadł. Potracił go jakiś cywil. On do niego: — Mógłby pan chociaż przeprosić. — Od słowa do słowa i tamten doprowadził go do patrolu. Tamta Bożenka też. Boję się więzienia. Nie będę ukrywał. Obecność małego pomagała w rozpraszaniu tych czarnych myśli.

Ale raz mróz przeszedł mi po krzyżu. Jechaliśmy tramwajem. Dosić tłoczno w wagonie. Ale to nie była już godzina szczytu. Mały jak zwykle myszkował swymi bystrzymi oczkami po wszystkim. Zauważył porwaną dermę na oparciu siedzenia.

— Patrz! — trąca mnie w ramię.

Pokiwałem obojętnie głową. A on na cały głos:

— To pewnie ubecy zepsuli w czasie rewizji!

Cztery latka i taki rezolutny. Skojarzenie bezbłędne. Zdenerwowałem się porządnie. Gorąco i spociły mi się dłonie. Oba-

wiałem się nieprzewidzianej reakcji. Różni przecież jeżdżą. Jakiś ormowiec, cywilny funkcjonariusz, głupiec po prostu. Dopiero wyniknie afera! Dowód okazać, a może zatrzyma tramwaj. Pojawi się patrol i już... Miałem pełną torbę bibuły. Kilkaset numerów „Tygodnika Wojennego”. Świeże, pachnące farbą egzemplarze. Ładnie bym wyglądał! Ale ludzie tym razem byli jednolici. Żadnej parszywej owcy. Szeroki uśmiech na twarzy motorniczego. Inni uśmiechają się również. Na mojego malca spoglądają z sympatią. Mały zadowolony z tego uznania. Paluszką wytykał to rozprute oparcie siedzenia. Szczęśliwie dojechaliśmy do celu.

SPIS TREŚCI

<i>Stan wojny</i>	7
<i>Boże, zmiłuj się nad Wilnem!</i>	9
<i>Opowieść taksówkarza</i>	11
<i>Co mam zrobić?</i>	14
<i>Lancet</i>	15
<i>Sekretne oblicze</i>	18
<i>Nocny ront</i>	20
<i>Pralka</i>	22
<i>W autobusie</i>	24
<i>2072 dni</i>	25
<i>Babilon upada</i>	28
<i>Róg obfitości</i>	30
<i>Kanarek</i>	33
<i>Bufet</i>	35
<i>Szczur</i>	36
<i>Wizyta</i>	39
<i>Wróg</i>	41
<i>KPN</i>	46
<i>Rewizja</i>	50
<i>Help</i>	51
<i>Słoneczko</i>	53
<i>Składka</i>	55
	99

<i>Srebrzysty ptak</i>	56
<i>Cień</i>	58
<i>Weryfikacja</i>	60
<i>Pusta tablica</i>	63
<i>Bibuła</i>	64
<i>Powielacz</i>	66
<i>Paw</i>	67
<i>Politolog</i>	68
<i>Głód prawdy</i>	70
<i>Pan Tosiek</i>	73
<i>Gadzio</i>	75
<i>Telefon zaufania</i>	76
<i>Pani Amalia Bessarabo</i>	82
<i>Bukiet zapachów</i>	84
<i>Peruka</i>	88
<i>Przy kasie</i>	90
<i>Zawół</i>	92
<i>Kolporter</i>	95

